NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi:
Kwartalnie 4 kor. — 4 Mrk — 1 Rsb. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rsb. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8 Mrk. 3 Rsb. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rsb. 20 kop. Rocznie 16 kor. — 16 Mrk. — 7 Rsb. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA I ADMINISTRACYA **KRAKÓW**, ZACISZE 7. Nr. TEL. 479.

Redaktor: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, Warszawa, Aleje Jerozolimskie 78.
Prenumeratę przyjmują Biura UNGRA w Warszawie; Wierzbowa 8 i Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi

Numer pojedynczy kosztuje 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok V. **Kraków, 21 listopada 1908.** **Nr. 47.**

Samobójstwo na inspekcyi policyi we Lwowie.

Treść na str. 2



Samobójstwo na inspekcyi policyi we Lwowie.

(Do illustracyi tytułowej).

Życie ludzkie, uważane od zarania istnienia ludzkości, aż po dni dzisiejsze, za najtrudniejszą do rozwiązania zagadkę, zasługuje w zupełności na to miano, ponieważ tylko niewielu wybrańcom losu, ściele się, jak gdyby po różach, gdy tymczasem niezliczone zastępy upośledzonych przez kapryśną fortunę, toczyć muszą zaciętą walkę, której po największej części padają w końcu ofiarą. Tragedyą więc jest nieraz to, nasze pełne niepowodzeń, znojne życie, tragedyą, tem straszniejszą, że zazwyczaj rozgrywa się cicho, bez żadnego rozgłosu, choć patrzą na nią tysiące oczu ludzkich, a świat dowiaduje się o niej dopiero z jej epilogu, mogącego wzruszyć do głębi nawet najbardziej obojętne na ludzkie nieszczęście serca.



Nowe prezydyum Dumy: Prezydent trzeciej Dumy, Mikołaj Aleksiejewicz Chomiakow.

Tragedya, tego właśnie pokroju, a tem smutniejsza, że genezy jej szukać może należy w nieszczęśliwym zbiegu okoliczności, rozegrała się w ubiegłym tygodniu na inspekcyi policyjnej we Lwowie. Mamy tu na myśli samobójstwo, dokonane w środę wieczorem, przez Kabzińskiego, młodego urzędnika Towarzystwa „Rolnik“ w Gnieznie, którego aresztowano pod zarzutem popełnienia defraudacyi na szkodę powyższej instytucyi, w wysokości około 30 000 Mk.

Aresztowanie Kabzińskiego nastąpiło na skutek doniesienia dwu obywateli z Poznańskiego, którzy spotkawszy go na ulicy, i dowiedziawszy się, iż korzystając z udzielonego mu urlopu przybył do Lwowa, zaprosili go do siebie na mieszkanie, nie wiedząc jeszcze nic o wykryciu defraudacyi, o czem dopiero dowiedzieli się nazajutrz z pism poznańskich, a co nadto potwierdziło im zapytane telegraficznie Towarzystwo. Kabziński, sprowadzony podstępem przez agenta policyjnego do biura inspekcyjnego, połapał się w sytuacyi dopiero w ostatniej chwili, i przestąpiwszy próg pokoju inspekcyjnego, wypalił sobie w skroń z rewolweru, czem oczywiście wywołał wielką konsternacyę. Komisarz inspekcyjny zawezwał wprawdzie natychmiast pogotowie ratunkowe, a nadto przybył także kapłan, by udzielić samobójcy ostatnich sakramentów. Wszelka pomoc okazała się jednak bezskuteczną, ponieważ Kabziński nie odzyskał już przytomności, a przewieziony do szpitala, zmarł jeszcze w ciągu nocy. Zapóźno też, ukazała się rehabilitacya samobójcy, z pod zarzutu defraudacyi, powtórzona przez nasze pisma za pismami poznańskiemi.

Przeniesienie zwłok ś. p. Slęka do nowego grobowca.

Dnia 13 bm. odbyło się przeniesienie zwłok ś. p. Franciszka Slęka, długoletniego dyrektora krakowskiej miejskiej Kasy oszczędności i wielce zasłużonego obywatela naszego grodu, zmarłego w ubiegłym roku, do wystawionego świeżo rodzinnego grobowca. W tym smutnym obrzędzie, w czasie którego ks. mitrat Wołoszyński z Przemyśla wygłosił wzruszającą przemowę po polsku, — wzięło udział — oprócz najbliższej rodziny — liczne grono przyjaciół ś. p. Slęka, oraz autor nowego monumentalnego grobowca, artysta-rzeźbiarz Stanisław Lewandowski.

Cmentarz krakowski zawiera wprawdzie sporo okazałych rozmiarami pomników grobowych, lecz mało z nich może mieć pretensyę do artystycznego piękna. Jednym zaś z takich niewielu, naprawdę artystycznie pomyślanych grobowców jest ten, którego podobiznę podajemy obok, a w którym widać rękę znakomitego rzeźbiarza. Laureat konkursu na pomnik Kościuszki w Waszyngtonie i twórca wspaniałego sarkofagu, który będzie krył w Opinogórze śmiertelne szczątki Zygmunta Krasińskiego, wykazał jasno, że nawet tak skromnie skomponowany grobowiec może posiadać wszystkie cechy monumentalności, jeżeli da do niego projekt artysta.



Nowe prezydyum Dumy: I. wiceprezydent, ks. Włodz. Wołkoński.

Fakt ten powinien posłużyć za wskazówkę dla tych, którzy pragną uczcić pamięć drogich zmarłych, a nie są dość bogaci, aby stawiać kosztowne pomniki, które bywają — powiedzmy otwarcie — często bardzo nieartystyczne, bardzo, poprostu brzydkie.



Przeniesienie zwłok ś. p. Slęka: Nowy grobowiec dłuta art. rzeźbiarza Lewandowskiego.

Deputacya bośniacka u cesarza.

Wprawdzie zagranica, a głównie Serbia, chciałyby widzieć Bośnię i Hercegowinę niezadowolonemi z przyłączenia do Austryi, mimo to ludność obu tych krajów, bez żadnego przymusu manifestuje na każdym kroku swą radość z aneksyi, widząc rozpoczynającą się dla siebie nową erę. Jednym z takich objawów lojalności względem sędziwego monarchy była podróż deputacyi bośniackiej do Wiednia.

Pod przewodnictwem burmistrza Serajewa, Kulowicza, przybyła deputacya mahometan Bośni i Hercegowiny, by złożyć cesarzowi hołd na specyalnej audyencyi. Deputacya ta, złożona z 70 członków, przyjęta została w zamku, o godz. 2 popołudniu, w dniu 9 listopada. Pojawienie się monarchy, przywitano entuzyastycznemi okrzykami „Żiwio!“ Burmistrz Serajewa wystosował do cesarza przemowę, w której dał wyraz głębokiej czci i wierności muzułmanów Bośni i Hercegowiny do tronu Habsburgów. Monarcha przyjął przemówienie bardzo łaskawie. O trzy kwadranse na trzecią, przyjął cesarz deputacyę złożoną z 24 członków rady miasta Serajewa, którą prowadził burmistrz Kulowicz i wiceburmistrz Mandicz. Na przemowę wiernopoddańczą burmistrza odpowiedział cesarz, dziękując za wyrażone uczucia wierności, lojalności i przywiązania, i zapewniając, że zawsze przywiązanie do jego osoby Serajewa napełniało go wielką radością. Odpowiedź przyjęto burzliwemi oklaskami i okrzykami na cześć monarchy. Cesarz rozmawiał ze wszystkimi obecnymi, dowiadując się szczegółowo o sprawach miasta, z burmistrzem po francusku, z innymi po włosku lub niemiecku. Następnie przyjął deputacyę arcyksiążę następca tronu, Franciszek Ferdynand. W wiedeń-

skim ratuszu powitano także serdecznie kolegów ze Serajewa, a burmistrz Lueger oświadczył, że na znak braterstwa, gmina własnym kosztem przystąpi do wybudowania we Wiedniu meczetu.

Illustracya nasza przedstawia fotograficzne zdjęcie deputacyi bośniacko hercegowińskiej, wraz z przedstawicielami gminy wiedeńskiej w pięknej sali obrad dolno-austryackiej Izby handlowej we Wiedniu.



Deputacya bośniacka u cesarza: Członkowie deputacyi, zebrani w sali Izby handlowej we Wiedniu

Dwudziestopięciolecie pracy dyrektora Banku krajowego.

Są ludzie, tak ściśle w pojęciu ogółu związani z istnieniem jakiegoś dzieła, że się ich poprostu z tem dziełem identyfikuje. I różne się na to składają czynniki. To wybitny indywidualizm twórczy, to długoletnie wspólne istnienie obydwóch, to wreszcie jednomierna popularność twórcy i dzieła. Każda już z tych okoliczności wystarcza do łączenia zawsze i wszędzie tych dwóch pojęć, cóż dopiero mówić, gdy one wszystkie równocześnie istnieją.

Bank krajowy — to myśl Zyblikiewicza, ale dzieło Zgórskiego; indywidualizm wykonawcy wybił niezatarte piętno na każdym objawie życia tej potężnej dziś instytucyi pieniężnej, brak tego wykonawcy — jak zresztą pierwsze zaraz miesiące istnienia Banku wskazywały — sprawiłby to, co u nas dzieje się na porządku dziennym, że piękna myśl, najracyonalniejszy projekt, pozostałyby tylko piękną myślą i najracyonalniejszym, ale nieziszczonym projektem.

I trwają obaj po ćwierć wieku. Zaledwie parę miesięcy istniał Bank bez Zgórskiego. Były to czasy rządów ś. p. Wrotnowskiego, rozpoczętych z otwarciem Banku w dniu 1 lipca 1883 r. Ale już 20 listopada 1883 r. mianuje Wydział krajowy Dr. Zgórskiego dyrektorem, widząc, że rzecz jakoś nie idzie i grozić zaczyna nowem rozczarowaniem. Dr. Zgórski, młody podówczas dyrektor



Nowa sztuka Krzywoszewskiego: Stefan Krzywoszewski, autor »Przywódcy«.

Banku zaliczkowego, śmiałem wystąpieniem ostrzegawczem na zjeździe delegatów Stowarzyszeń zarobkowych zwrócił na siebie uwagę marszałka kraju, a zaproszony przezeń, rozwinął swój program pokierowania nawą bankową tak jasno, trzeźwo i przekonywająco, że rezultatem jej było mianowanie go dyrektorem Banku krajowego. Dwadzieścia pięć lat prowadził Dr. Zgórski ten bank, a okres ten, to nieprzerwany łańcuch dowodów, że dotrzymał tego, co ś. p. Zyblikiewiczowi przyrzekał. Zdziałał może nawet więcej, niż niezapomniany marszałek mógł pragnąć i oczekiwać. W ćwierć wieku z instytucyi o kapitale miliona, zrobił dziś zakład, rozporządzający 15 milionami koron własnego kapitału i blisko 6 milionami rezerw, przetrwał szczęśliwie tak ciężkie chwile, jak dwukrotne zachwiania się Banku galicyjskiego dla handlu i przemysłu, Galicyjskiej Kasy oszczędności, upadku Galicyjskiego Banku kredytowego i szeregu mniejszych zakładów pieniężnych, zdobył niepodzielne zaufanie społeczeństwa polskiego, szacunek i poważanie banków zagranicznych. W każdym zakątku kraju ma dziś Bank swoje zastępstwo: zbawcza jego działalność dociera do wszystkich sfer, potrzebujących zdrowego kredytu, swą taniością i przystępnością kładzie tamę lichwie w rękawiczkach i wywiera dominujący wpływ na stosunki pieniężne w kraju, na taniość i łatwość pieniądza. Kto nie miał z tem bliżej do czynienia, nie zdaje sobie sprawy, co znaczy do kraju, tak biednego i od dziesiątek lat upośledzonego, ściągnąć obcych kapitałów na 173 miliony koron. Tyle bowiem wynoszą emisye listów i obligacyj Banku krajowego, umieszczone w przeważnej części w ręku obcych kapitalistów.

Powiedziano na wstępie, że jednaka popularność towarzyszy tak Bankowi, jak i jego dyrektorowi. Tak jest, choć o nią ten ostatni przynajmniej nie dbał nigdy.

Wielkich dzieł dokonać może tylko wielka wola. Tę wolę on miał i ma, a to — jak wiadomo — nie zawsze zjednywa przyjaciół. Na sekundę nie



Nowa sztuka Krzywoszewskiego: Scena końcowa aktu trzeciego »Przywódcy«.

spuszczał z oka ten wybitny finansista tego jedynego celu. Dobro instytucyi, dobrobyt kraju, zbawienie Ojczyzny — oto jedyne hasło! i przez toczące się pod nogi przeszkody, spychane przez małostkowy egoizm i osobiste zaściankowe niechęci szedł zawsze naprzód z czołem do góry podniesionem. I zwyciężył. Rezultat ćwierćwiekowoj pracy nie schowają pod korzec nietylko niechętne jednostki, ale liczyć się z nim muszą wrogowie naszego narodu. Ten skarbiec opancerzony w podziemiach Banku, to równocześnie symbol naszego skarbca narodowego, to nasz ekonomiczny arsenał, skąd czerpać będziemy sił i zasobów do walki o ekonomiczne odrodzenie narodu.



Zmiana gabinetu w Austryi: Br. Ryszard Bienerth, nowy premier.

Wojownicze niewiasty.

Ogólny zapał, jaki ogarnął Serbów do walki z Austryą, udzielił się i kobietom serbskim, które zagrzane przykładem mężów i synów, postanowiły także złożyć ofiarę na ołtarzu ojczyzny. Jak niegdyś kobiety Kartagińskie, w czasie oblężenia miasta przez Rzymian, nie wahały się poświęcić największej swej ozdoby, tj. warkoczy, ofiarując je na wyrób cięciw do łuków, tak znów obecnie patryotyczne Serbki postanowiły z bronią w ręku stawić czoło nieprzyjacielowi. Gdy mężczyźni wyruszą na pole walki one będą strzegły ogniska domowego przed napadem wrogów. W różnych miejscowościach Serbii potworzyły się też różne oddziały serbskich amazonek (pieszych), które pod okiem wyćwiczonych w rzemiośle wojennem mężczyzn odbywają ćwiczenia w robieniu bronią.

Odbitkę fotograficznego zdjęcia jednego z takich oddziałów, nadesłaną nam przez naszego rodaka, bawiącego w Belgradzie, zamieszczamy w niniejszym numerze. Czytelnicy zrozumieją łatwo, jaki zapał ogarnia szerokie warstwy ludności serbskiej, jeśli udzielił się nawet kobietom, które z natury rzeczy, jako istoty delikatniejsze, zdala się zazwyczaj trzymają od zgiełku wojennego, a jak się obecnie okazało, stają na równi z mężczyznami, by poświęcić swe życie dla dobra ojczyzny.



Wojownicze niewiasty: Ćwiczenia kobiet kragujewackich w robieniu bronią.



Dwudziestopięciolecie pracy dyrektora Banku krajowego: Radca rządu, Dr. Alfred Zgórski.

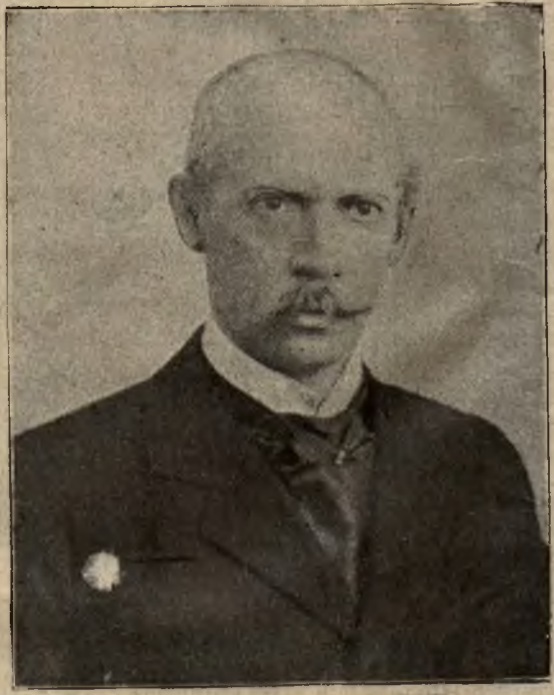
Nowe prezydyum Dumy.

Jak doniosły codzienne pisma rosyjskie prezydent Dumy, Chomiakow postanowił ustąpić ze zajmowanego stanowiska, oświadczając interwiewującym go dziennikarzom, że nie może być nim nadal w obecnych warunkach. Wszystkie starania posłów, aby skłonić Chomiakowa do cofnięcia powziętego postanowienia pozostały bez żadnego skutku.

A Duma znajduje się obecnie w bardzo ciężkiem położeniu, gdyż abstrahując już od waśni stronniczych, które przeszkadzają swobodnemu tokowi obrad, położenie polityczne przedstawia bardzo wiele trudności. Jak *Birżewyje Wiedomosti* donoszą, Izwolski w bieżącym tygodniu miał wygłosić exposé o polityce zagranicznej, Stołypin sprzeciwia się temu, wobec więc tego wszystkiego Chomiakow czuł się zniechęconym do dalszej pracy publicznej.

W dniu 14 listopada odbyło się posiedzenie Izby, na którego porządku dziennym był wybór prezydyum Dumy. Prezydentem wybrano ponownie Chomiakowa 316 głosami przeciw 36 Izba wybór przyjęła trzykrotnemi burzliwemi owacyami. Pierwszym wiceprezydentem wybrano ponownie księcia Wołkońskiego, drugim także ponownie bar. Meyendorfera.

Mikołaj Aleksiejewicz Chomiakow, syn znanego słowianofila, cieszy się wielką sympatyą wszystkich posłów i zaufaniem rządu, pierwszy zastępca ks. Wołkoński jest jednym z najbardziej reakcyjnych członków Związku prawdziwych Rosyan.



Zmiana gabinetu w Austryi: Br. Maksymilian Beck, ustępujący premier.

Nowa sztuka Krzywoszewskiego.

„Przywódzca", najnowsza trzechaktowa sztuka St. Krzywoszewskiego, była już przygotowana do wystawienia w roku ubiegłym, ale cofnięto ją z repertuaru, z polecenia najwyższej władzy w kraju, ponieważ zachodziła poniekąd słuszna obawa, iż może się przyczynić do wzniecenia na nowo ruchu rewolucyjnego w kraju. Obecnie jednak, gdy ta obawa już minęła, „Przywódca" ujrzał światło kinkietów, i spotkał się z przychylnem przyjęciem krytyki i publiczności.

„Przywódcą", jest Łomęcki, młody urzędnik fabryczny, który dzięki swym osobistym przymiotom, w pierwszym rzędzie fanatyzmowi i wymowie, staje się trybunem robotników. Wpływ jego na nich jest tak wielki, że, pomimo słów przestrogi drugiego urzędnika fabrycznego, Drukwy, robotnicy zapominają się do tego stopnia, iż zdolni są do podpalenia fabryki, która przecież była ich żywicielką i ich rodzin. Tymczasem w tym krytycznym momencie następuje w Łomęckim zasadnicza zmiana przekonań, a dzieje się to pod wpływem uczucia miłości, wzbudzonego w jego duszy, przez młode dziewczę, które, choć porwane w odment rewolucyi, potrafiło ocenić jej zgubne strony. Zwycięża więc dobro, uosobnione tym razem w młodem dziewczęciu, które staje się dozgonną towarzyszką trybuna ludu. Zmiana przekonań u Łomęckiego, wywołuje w tłumie zfanatyzowanych przez niego robotników, niechęć do niego, poczynają go więc pomawiać o zdradę, aż wreszcie przychodzi do katastrofy, gdyż ten ginie z rąk swych dawnych podkomendnych.

Reżyserya Rozmaitości, pragnąc tę sztukę utrzymać w repertuarzu, usunęła z niej wszystko, coby mogło działać drażniąco na tłum, i nawet skreśliła w tym celu śpiew marsylianki za sceną w pierwszym akcie.

Równocześnie podajemy portret autora p. Krzywoszewskiego, oraz zdjęcie końcowej sceny aktu trzeciego.

Z pamiętników wspólnika zbrodni.

Powieść z angielskiego opracował W. K.

4 (Ciąg dalszy).

— Zdawało mi się, że z tobą najlepiej tak postąpić, jak się postępuje z nerwowymi aktorami; trzyma się ich daleko za kulisami, nie pozwala wyczekiwać na chwilę wejścia na scenę, tylko tuż przedtem, gdy wejść mają, ku scenie się ich wprowadza. Jeżeli cię porównywam z nerwowym aktorem, to nie dlatego, aby ci ubliżyć, lub okazać lekceważenie, tylko ze względu, że jesteś nowicyuszem i nie masz należytego doświadczenia. Pamiętaj chłopcze, żebyś się spisał równie dobrze, jak na Bond Street.

— Powiedziałeś, że to będzie twardy orzech do zgryzienia.

— No, tak zapewne, ale nie wyobrażaj sobie, żeby trzeba przytem kark skręcić. Wejść tam można bardzo łatwo, tylko wydostać się trudniej. W poniedziałek spędziłem całą noc w przyległym ogrodzie i wciąż zaglądałem, co tam w nocy robią. Mogłoby się zdawać, że tam niema żywego ducha, a tymczasem te małpy afrykańskie, owi niewolnicy Kafrowie leżą jak psy wokoło całego domu. Rosenthal i ten jego przyboczny urwisz wracają koło północy z miasta, a potem do rana piją, kłócą się i zaciskają na siebie pięści. Widziałem to przez oświetlone okna. Nie dość im było kłótni w pokoju; wyszli do ogrodu i tu kłócili się z większą jeszcze zaciętością, tak, że o mało bić się nie zaczęli. Przy tej sposobności usłyszałem, jak siłacz nazwał Rosenthala połykaczem dyamentów. Czy wiesz co to znaczy?

— Podobno tych spekulantów tak nazywają, co od robotników kupują w [illegible]palniach skradzione brylanty.

— Zgadłeś. Widać, że Rosenthal na takim handlu dorobił się milionów, skoro mu siłacz po pijanemu w oczy to powiedział, a w dodatku jeszcze groził mu doniesiesieniem do policyi. Zdaje mi się, że ci przyjaciele są na stopie wojennej. Co do jutrzejszej wyprawy, to plan bardzo prosty. Cała rzecz polega na tem, abyśmy się tam dostali, zanim te gbury z miasta do domu powrócą. Musimy mieć dobrze zaprawioną wisky i niespostrzeżenie zgubić ze dwie tęgie flaszki przy legowisku Kafrów. Te pogańskie dusze lubią się upijać, a mają takie nędzne głowy, że upiwszy się, palcem ruszyć nie mogą i o bożym świecie nie wiedzą, a leżą jak kłody. Rosenthal nie daje im nawet powąchać wisky, więc gdy z naszych flaszek powąchają, rzucą się do nich i spiją na umór. Tym sposobem usunęłaby się najważniejsza przeszkoda. Trzeba także zabezpieczyć się przedtem, aby nam Rosenthal nazwiska swego rewolwerem na głowie nie wypisał. To nie dobre, że tam są i kobiety.

— Kobiety? A cóż one tam robią do stu dyabłów?

— Ha są i to rozmaitego rodzaju, a wszystkie krzykliwe, kłótliwe, niekiedy za czuby się biorą. Tłuszcza wyuzdanych wszetecznic najgorszego rodzaju. Te wiedźmy przywykłe sypiać w dzień, a nie w nocy, mogłyby nam bardzo przeszkodzić. Mimo tego uda nam się wszystko dobrze, jeżeli Rosenthal wróci o północy pijany do domu, a potem jeszcze dolewać będzie. Nad ranem będzie spał jak zabity, wraz ze swoim siłaczem, no i wtedy zrobimy obławę na brylanty. Kafry będą leżały na dziedzińcu bez duszy pijane na umór, baby pogrążą się w pierwszym twardym śnie, a Rosenthal i siłacz będą sobie chrapali zwaleni z nóg pijatyką. Ale jeżeli ten „połykacz dyamentów“ wróci trzeźwy i do pijatyki się nie zabierze, to może być sprawa nieprzyjemna; zamiast schować brylanty do kieszeni, schowamy kilka kulek rewolwerowych. No, ale i na rewolwer jest rada. Ten gbur afrykański przechwala się, że umie kulami swoje nazwisko wypisać, ale ja bez przechwałek nieraz to czyniłem, więc od tego będzie zależało, kto prędzej pisać kulami zdoła. Czy tak, czy owak nie traćmy fantazyi i zabierzmy się z humorem do roboty.

Za chwilę wyszliśmy z tej tandeciarni. Odprowadziłem Rafflesa do domu, bo mu pilno było położyć się i wyspać. I ja wróciwszy do domu położyłem się zaraz, ale zasnąć nie mogłem. Przed oczyma miałem i Rubena i Kafrów i siłacza; nasuwało mi się wciąż pytanie, czy wyjdę żywy z tej wyprawy. Męczyłem się bezsennością i byłem prawdziwie szczęśliwy, gdy dzień wreszcie zaświtał.

* * *

Obok domu Rosenthala był pałacyk, również ogrodem otoczony. Nocne awantury afrykańskiego milionera sprawiły, że właściciel pałacyku, człek samotny, wiekowy, pragnący ciszy i spokoju, wyprowadził się z własnego domu i najął gdzieindziej mieszkanie, a pałacyk na sprzedaż przeznaczył. Stał więc teraz pustką i dlatego mógł Raffles stamtąd czynić obserwacye.

Otóż w ogrodzie tego pałacyku zaczailiśmy się wieczorem, między ósmą a dziewiątą. Byliśmy tu zupełnie bezpieczni, ukryci za murem, dzielącym ten ogród od ogrodu Rosenthala. Schowani w krzakach, przy murze rosnących, spoglądaliśmy ciekawie na to, co u Rosenthala się dzieje. Dom był oświetlony, hałasy przedzierały się z wnętrza przez zamknięte okna; słychać było nawet pukanie korków szampana i brzęk kieliszków. To nas zaniepokoiło; widocznie Rosenthal przyjmuje gości i będzie z nimi bankietował do rana. Mieliśmy dać za wygrane, odłożyć robotę i opuścić nocną kryjówkę, gdy nagle zaturkotał powóz i zatrzymał się przed werandą.

Ktoś widocznie wyjedzie. Rozwarły się drzwi werandy i zobaczyliśmy Rosenthala i jego brylanty, siłacza i jakąś kobietę z fryzurą, podobną do olbrzymiej gąbki. Wszystko troje rozmawiali głośno, krzykliwie, śmiali się, wsiedli do powozu i wyjechali za bramę.

— Doskonale — szepnął Raffles — jadą na długą hulankę, a Kafry teraz zabiorą się do wisky. Położyłem obie flaszki tuż przy ich budzie pod murem. Patrz! światła w całym domu zgaszone. Mamy szczęście. Teraz do masek.

Założył maskę i mnie i sobie, przywiązał je mocno.

— No, wybornie. Wyglądasz na prawdziwego rzezimieszka. Gdyby nas spotkała jaka przygoda, pamiętaj mówić gwarą z Whitechapel; nie zapomnij. Gdybyś nie umiał, to nie odzywaj się wcale, a ja będę mówił za ciebie. Czyś gotów?

— Już.

— A więc do roboty!

W mgnieniu oka przesadziliśmy nizki mur graniczny i byli w ogrodzie Rosenthala. To mnie zdziwiło, że cisza była grobowa i Kafrów ani dojrzeć, ani dosłyszeć nie było można. Gdzież są u licha? Szepnąłem o tem Rafflesowi.

— Niezawodnie poszli pić do stajni i wozowni, korzystając z tego, że puste — szepnął mi Raffles.

Przesunęliśmy się cicho, ostrożnie wzdłuż muru, aż pod samą werandę. Noc była ciemna zupełnie; ani gwiazd, ani księżyca, tylko gęste, czarne chmury na niebie. W domu była cisza grobowa. Stanęliśmy u drzwi werandy. Raffles ujął za klamkę i zaraz się otwarły.

— Mamy prawdziwe szczęście — szepnął. — Zostawili drzwi otwarte dla nas. Teraz trzeba cokolwiek światła.

Ledwie to wyszeptał, nagle zajaśniało światło kilkunastu płomieni elektrycznych i oślepiło nas zupełnie. Gdyśmy przejrzeć zdołali, zobaczyliśmy przed sobą cztery rewolwery ku nam skierowane. Dwa z nich trzymał Rosenthal, po jednym w każdej ręce i zanosząc się od śmiechu, zawołał:

— Dobry wieczór panicze. Bardzo mi przyjemnie, żeście mnie odwiedzili. No, a teraz ręce do góry, bo jak mi się ruszycie, to dam kulą w łeb. No, ty drabie po lewej stronie; poznaję cię dobrze, spodziewałem się twoich odwiedzin. Śledziłem cię przez cały tydzień. Zdawało ci się, żeś sobie bardzo sprytnie poczynał, co? hę? A jednego dnia udawałeś żebraka, a drugiego przychodziłeś mnie odwiedzić, niby dawny przyjaciel z Kimberley, a przychodziłeś wtedy, gdyś wiedział, że mnie w domu niema. Oj ty ośle głupi! Złapałeś się, co? A ja bramą wyjechałem w powozie, a z drugiej strony furtą po cichu wróciłem. Widzisz wróbli? Aha! A teraz co? hę? a to się wami zabawimy.

— Cicho, cicho ojczulku — odezwał się Raffles gwarą ulicznika — po co się gniewać, to ci za szkodzi. Nie udało się, złowiłeś nas mądrze. Tęga z ciebie głowa. Nie bój się, broni przy sobie nie mamy, odłóż rewolwer, bo cię ręce zbolą.

— Mądryś ty złodziejaszku, ale i ja nie głupi. Co? jak ci się zdaje? — szydził Rosenthal.

— No, no, a cóż, jakżeby nie. Stara to rzecz, iż złodziej najłatwiej pochwyci złodzieja.

Struchlałem teraz. Byłem bowiem pewien, że Rosenthal położy trupem Rafflesa, tak podrażniony przez niego. Ale milioner stał spokojnie i wpatrywał się w nas, jakby się namyślał, co to wszystko znaczy, skąd ta zuchwałość Rafflesa. A zuchwałości potrzeba było niezmiernej, żeby tak przemawiać, mając przed piersiami cztery rewolwery: Rosenthala, siłacza, owej kobiety z włosami jak olbrzymia gąbka, a poza nimi gromadę Kafrów, szczerzących na nas zęby.

Po chwili milczenia odezwał się milioner spokojnie, zjadliwie:

— Synku, smyku, gałganie, powtórz, coś powiedział.

— Czemu nie, a no, przecież to prawda, że złodziej pozna złodzieja — odpowiedział Raffles, śmiejąc się głośno.

— Łotrze! gadaj dalej, gdzie złodziej, jaki złodziej. Gadaj zaraz, bo ci w łeb strzelę, jak psu wściekłemu.

— Jeżeli zastrzelisz ojczulku, to nie będę mógł powiedzieć. Nie strasz że mnie tak bardzo, bo ze strachu język mi gotów skołczeć.

Ręce Rosenthala zaczęły drgać, trząść się ze złości, rewolwery zakreślały dziwaczne łuki w powietrzu. Odgadłem Rafflesa; chciał rozdrażnić milionera tak, aby jego strzały nie były celne.

— Gadajże prędzej — wrzasnął Rosenthal z wściekłością.

— Dobrze, dobrze, powiem, ale ty mi wpierw powiedz ojczulku, ile się to płaci robotnikom za kradzione brylanty?

— Co? hę? — krzyknął Rosenthal, aż się szyby zatrzęsły.

— No, powiedz ile się płaci za skradzione dyamenty, powiedz połykaczu dyamentów.

— Ha! ha! a toś trafił! Kto ci to powiedział, co?...

— Ba! o tem wiedzą wszyscy pomiędzy nami.

— Skąd się wzięły te brednie?

— Tego ja nie wiem; spytaj się ojczulku tego pana co przy tobie stoi, on coś o tem wiedzieć powinien.

To mówiąc, wskazał Raffles na siłacza. Ten zbladł, pozieleniał, oczy mu zabłysły, twarz wykrzywiła się obrzydliwie, potem krew mu uderzyła do głowy, poczerwieniał, ślina mu z ust pociekła, cisnął rewolwer, zakasał rękawy, stulił pięści i rzucił się ku nam. Namiętność bokserska porwała go ślepo.

— Na bok — krzyknął Rosenthal, gdy mu siłacz swem olbrzymiem ciałem zasłonił Rafflesa — na bok, bo mi ujdzie z pod lufy.

Siłacz nie zważał na to i zaczął walić w nas pięściami. Raffles skoczył nagle wstecz ku drzwiom, które za nami zamknąć zapomniano, i zniknął po za niemi, a mnie tymczasem mistrz bokserów na posadzkę zwalił. Omdlałem. Gdym się ocknął, usłyszałem piekielny krzyk około domu, w ogrodzie, a w pokoju sam byłem. Podniosłem się i nadsłuchiwałem. Słychać było głosy Rosenthala i siłacza; wrzeszczeli i klęli na przemian, tłukąc przytem Kafrów, gdy się który z nich pod rękę nawinął.

— Już mur przeskoczył — wołał Rosenthal.

— Ale nie; dopiero go tu widziałem za krzakiem. Trzeba wezwać policyę — krzyczał siłacz.

— Idź do dyabła z policyą; już jej mam powyżej uszu.

— No, to wracajmy do domu i rozprawmy się z tym drugim.

— Rozprawiaj się do stu piorunów stary ośle, niedołęgo. Czemuś go sobą zasłonił? byłby nie uciekł, a jakby się chciał ruszyć, dostałby kulą w łeb. Głupi ośle. No, a wy tu czego czarne świnie, bydlęta, na hak z wami, jak pilnujecie. Dostaniecie po sto batogów...

Wciąż wrzeszczał Rosenthal, wciąż się z nim kłócił przyboczny mistrz boksowania, a Kafry wyły ze złości i bólu. Przegnałem skryć się pod ziemię w tej chwili, żeby mnie tu nie dopadli teraz, gdy nimi taka wściekłość miota. Zobaczyłem w kącie drzwi otwarte na schody. Uciec przez ogród było wprost niepodobieństwem, bo tam roiło się od ludzi, więc bodaj po schodach uciec gdzieś na górę i tam się gdzieś ukryć, byle pierwsza złość tych ludzi opuściła.

Puściłem się więc owemi schodami i wpadłem na piętrze do sypialnego pokoju milionera. Naprzeciw drzwi było wielkie zwierciadło; zobaczyłem się w niem i zimział mi się nagle zachciało ze samego siebie, tak zabawnie wyglądałem w przebraniu ze szatni teatralnej Rafflesa. Spostrzegłem, że to zwierciadło oprawne w drzwiach od wielkiej szafy. Drzwi były uchylone od szafy, wskoczyłem w nią i wścisnąłem się poza suknie, które w niej wisiały.

Lęk ogarnął mnie straszny, gdym się tu znalazł. Trząsłem się jak we febrze. Byłem pewien,

że zginę albo od kuli Afrykańczyka, albo na szubienicy. Przeklinałem swoją uległość dla Rafflesa, przeklinałem jego samego, a najbardziej ową chwilę, gdym do niego przybył szukać pomocy, co było początkiem wszystkiego złego. Tak upłynęła blizko godzina, gdy nagle drzwi szafy rozwarto i mnie wyciągnięto z kryjówki. Popychany, szturchany, dostałem się na dół, do tego samego pokoju przy werandzie, gdzie nas tak pięknie przywitano.

Tu była piekielna wrzawa. Rosenthal nawoływał, aby się uciszono, ale kobiety jeszcze bardziej wykrzykiwały, a najbardziej owa, co miała włosy do gąbki podobne, bo chciały koniecznie wezwać policyę. Tego samego domagał się mistrz boksowania.

— Nie chcę, nie pozwolę — wołał Afrykańczyk — jeżeli mi się kto ruszy z miejsca, aby iść po straż policyjną, to go zaraz zastrzelę. Nie chcę policyi, nie potrzebuję, ja się tu po swojemu rozprawię z tym urwiszem.

To powiedziawszy, porwał mnie za ramię i silnie pchnął ku drzwiom, a w ślad za tem strzelił we drzwi, o kilka centymetrów tuż nad moją głową.

— Daj spokój pijaku obrzydliwy — krzyknął siłacz — cóż to, chcesz się mordu dopuścić? Czy wiesz czem to pachnie?

— Idź do dyabła przeklęte bydlę i stul gębę. Co ci do mnie? Ten urwisz ma rewolwer, ma pewnie, to mi wolno do niego walić w obronie własnego życia.

Podniósł rewolwer i zmierzył, ale go siłacz szarpnął za rękę i zatrzymał.

— Upiłeś się stary durniu. Widziałem jak wychłałeś całą szklankę whisky, od razu, duszkiem. Straciłeś przez to i tę odrobinę rozumu, którą masz w swej ciasnej mózgownicy. Nie pozwolę na to, abyś popełnił coś takiego, czegobyś po trzeźwemu żałował.

— No zgoda. Nie zastrzelę go, ale będę mu stukał dokoła głowy. Hę? ot tak — widzicie.

I w tej chwili huknął strzał, kula świsnęła mi koło uszu. Siłacz rzucił się na Rosenthala i wydarł mu rewolwer, a w tej chwili drzwi się rozwarły i wszedł urzędnik policyi. W mgnieniu oka skrępował mi ręce z tyłu i zaczął słuchać opowiadań siłacza o napadzie złodziejskim. Rosenthal tymczasem wpadł w szaloną złość i zaczął miotać na policyę obelgi, drwić z urzędnika tak, że ten przerwał przesłuchanie i rzekł do mistrza bokserów:

— Będę pana oczekiwał jutro w cyrkule policyjnym Marybebone, a teraz proszę zająć się uspokojeniem tego krzykliwego pana.

Ukłonił się uprzejmie zebranym, wyjął rewolwer z kieszeni i wymierzywszy go we mnie, rzekł gromkim głosem:

— Naprzód, dwa kroki przedemną.

Wyszedłem bardzo posłusznie.

Gdyśmy uszli z jakie kilkaset kroków, a nikogo nigdzie nie było widać, odezwałem się do owego urzędnika:

— Słuchajno, jakimże sposobem do licha zdołałeś tak prędko przygotować się do tej zabawnej komedyi?

— A widzisz mój kochany — odpowiedział Raffles — jakie to dobrodziejstwo owa szatnia moja. Tam wszelkie kostyumy. Ale teraz trzeba zwolna się rozebrać, zanim spotkamy po drodze prawdziwego urzędnika policyi. Czapka urzędowa do torbeczki, ot, tak, a stary kapelusz na głowę. Pałasz pod płaszcz. No, już wyglądam na zwykłego tandeciarza. Torbeczkę z płaszczem i kapeluszem zostawiłem pod murem ogrodu, zanim wszedłem do jaskini Afrykańczyka, aby cię uwolnić. A tośmy byli w opałach! Nie udało się! Ale nie trzeba się zrażać. I tak wielkie szczęście, żeśmy się wyrwali z tej złodziejskiej nory. Ale wypłatałem figla temu drabowi. Posłałem fiakra, który mnie przywiózł, z doniesieniem do policyi, że u Rosenthala są rozbójnicy. Za pół godziny będzie tam u niego cała gromada policyantów, ajentów i niezawodnie Mackenzie na czele. Wyobraź sobie, jak Rosenthal będzie się wściekał i na policyę, której nie cierpi, bo się jej lęka i na samego siebie, że się dał wywieść w pole, żeśmy się tak gładko wymknęli.

— Kto to Mackenzie?

— A ty nie wiesz? Czyś z Honolulu dopiero przyjechał? Toć to przecież sławny na całą Anglię detektyw.

— A po cóż ty budzisz takie licho?

— A, mój drogi, to wielka przyjemność zadrwić sobie równocześnie i z takiego milionera i z takiego detektywa.

Przebraliśmy się w szatni Rafflesa i poszli jeszcze na godzinę do klubu na krótką partyjkę.

III.

Naszyjnik markizy Melrose.

Raffles był nieprześcigniony w krykiecie i tem zyskał sobie prawdziwą sławę pośród wielbicieli tego sportu. Podziwiałem go zawsze, gdy stanął do gry. Takiej przytomności umysłu i bystrości wzroku, takiej zręczności i szybkości ruchów, a przy-



Gdyśmy przejrzeć zdołali, zobaczyliśmy przed sobą cztery rewolwery ku nam skierowane.

tem takiej eleganckiej swobody nie dostrzegłem u nikogo innego. A mimo tego grał obojętnie, bez zapału, jakby od niechcenia, niekiedy zdawało mi się, że bezmyślnie. Raz się go o to spytałem, gdy jakoś rozmowa zeszła na krykieta. Odpowiedział mi na to.

— Jest to dla mnie raczej zajęcie potrzebne, niżeli zabawa, czy przyjemność. Grywam, bo to przydatna mi gimnastyka oka, gimnastyka umysłu, ciągłe ćwiczenie się w zachowywaniu zimnej krwi, w bystrem, nagłem ogarnianiu sytuacyi. No, a przytem ta sława, w krykiecie nabyta, jest dla mnie znakomitą osłoną i ochroną.

— Sądziłbym, że raczej należałoby się usuwać ludziom z oczu i nie być widocznym, jak migdał na pierniku.

— O jakże ty jeszcze mało masz doświadczenia, mój drogi chłopcze. Jeżeli kto miewa upodobanie w zwiedzaniu cudzych domów po nocy, to właśnie trzeba mu wobec świata i dla świata mieć także jakieś zajęcie, któreby mu dawało jaki taki rozgłos i zwracało uwagę na niego. Głośny Peace nie ściągnął na siebie nigdy żadnego podejrzenia, bo słynął jako znakomity skrzypek. Kiedy dentysta chce dziecku ząb wyrwać, to mu pokazuje błyskotki; zapatrzone w nie, nie dojrzy szczypczyków w ręce lekarza. Trzeba się ludziom ukazywać w jakikolwiek sposób, jednający rozgłos, a nie będą cię sami śledzili. Dlatego też tak bardzo cię namawiam, abyś się już raz czepił jakiegoś dziennika, pisał i podpisywał się na artykułach.

Jakoż w połowie lipca stanęły do popisu dwa kluby, uprawiające krykieta. Raffles należał do jednego z nich i oczywiście miał wziąć udział w popisie. Poszedłem się przypatrywać, bo mi to prawdziwą sprawiało przyjemność podziwiać go i studyować. Grający podzielili się na grupy, które miały na przemian zjawiać się na arenie. Raffles miał w drugiej grupie wziąć udział, więc tymczasem siedzieliśmy razem i od niechcenia spoglądali na arenę.

Ale zamyślony był jakoś i cokolwiek chmurny, do rozmowy nie skłonny. Z zamyślenia rozbudził go jakiś młodziutki sąsiad z loży, ubrany wykwintnie, według najnowszego żurnalu. Przyszedł do nas i w sposób uprzejmy, ale z odcieniem dumy i wyniosłości, rzekł Rafflesowi:

— Mój ojciec pragnie pana poznać. Jest obok w loży; czy zechciałby pan sprawić mu tę przyjemność?

— I owszem, będzie to dla mnie bardzo miły zaszczyt. Służę panu.

Odeszli. Za memi plecyma ktoś się odezwał: „To młody Crowley“. Słyszałem to nazwisko, wiedziałem, że to stara, bogata rodzina, ale mało mnie zajmowało zjawienie się tego młodzika. Wyczekiwałem niecierpliwie chwili, w której Raffles na arenie się zjawi, ale gra się przeciągała, wystąpienie drugiej grupy widocznie się opóźniało, więc zacząłem się nudzić i myślałem o tem, żeby pójść do domu. Wtem Raffles zwrócił się do mnie z loży i dał mi znak, abym do niego przyszedł. Wyszedł naprzeciw mnie i rzekł po cichu:

— Chcę cię przedstawić lordowi Amerstet. W przyszłym miesiącu będzie wielka uroczystość w jego zamku, z powodu uznania pełnoletności młodego Crowleya. Lord chce urządzić wspaniałego krykieta i dlatego nas zaprasza.

— Ależ ja przecie nie mam właściwie pojęcia o krykiecie!

— Cicho, ani słowa. Zdaj wszystko na mnie i nie zdradź się, bardzo cię proszę. Już ja wszystkiem dobrze pokieruję.

W oczach Rafflesa było wielkie ożywienie; miewał je zawsze, ile razy powziął plan jakiejś wyprawy. Nie mogłem zrozumieć, skądby mu się tutaj, podczas gry, taki plan mógł nasunąć.

Lord Amerstet wywarł na mnie wcale miłe wrażenie. Był to piękny mężczyzna, o szlachetnym wyrazie twarzy. Przyjął mnie z wielkopańską, zdawkową grzecznością, jak tego, co się go przyjmuje z konieczności.

— Pozwoliłem sobie zaprosić pana Rafflesa — rzekł lord — bo chciałbym urządzić na wsi wielką partyę krykieta. Pan Raffles słynie w całej Anglii, jako niezrównany partner; bez niego nasz wiejski krykiet nie miałby żadnego uroku. Okazał uprzejmie chęć przyjęcia mego zaproszenia, ale krępuje się tem, że przyrzekł panu wybrać się na połów ryb, więc możeby pan zechciał uwolnić pana Rafflesa od tego przyrzeczenia.

Nie wiedziałem nic zgoła o żadnym połowie ryb, ale domyślając się, że to Raffles na prędce skomponował, skłoniłem się grzecznie lordowi i rzekłem:

— Połów ryb możemy odłożyć.

— A, bardzo dziękuję. Ale pan także grywa krykieta?

Nie wiedziałem, co na to odpowiedzieć. Raffles nie dał mi przemówić, wtrącając nagle:

— Mój przyjaciel grywał znakomicie, gdy był jeszcze studentem.

— Właściwie... to... ja teraz mało bardzo...

— Zapewne, że mistrzem nie jest, ale gra znacznie lepiej od wielu innych — zapewniał Raffles.

— Ależ to zupełnie naturalne — rzekł z uśmiechem lord Amerstet — że nie wszyscy mogą być takimi mistrzami, jak pan Raffles, ale nie wynika z tego, aby się od gry usuwali.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Następca tronu rumuńskiego.

Do niedawnych czasów uważano powszechnie Rumunię za wierną aliantkę Austryi i nikomu nawet przez myśl nie przeszło, aby tamże miały się objawić wrogie dla Austryi demonstracye. Tymczasem dzięki agitacyi postronnej już z początkiem bieżącego miesiąca wybuchły w Bukareszcie niepokoje, manifestujące się zgromadzeniami ludowemi, na których żądano całkiem otwarcie przyłączenia do Rumunii Bukowiny i Siedmiogrodu. Niepokoje powtórzyły się w kilku miejscowościach, nigdzie jednak nie przybrały takich rozmiarów, aby się na nie zapatrywać poważnie. Są to wybryki poszczególnych jednostek, z którymi większość Rumunów zupełnie się nie solidaryzuje. Dwór bukareszteński zachowuje względem Austryi sąsiedzką życzliwość, której już nieraz dawał dowody, a którą potwierdza obecnie, wysyłając do Wiednia następcę tronu, ks. Ferdynanda, który ma imieniem obojga królestwa złożyć monarsze austryackiemu serdeczne życzenia.

Jak wiadomo, na tronie rumuńskim zasiada obecnie król Karol I., z domu Hohenzollernów, ożeniony z Elżbietą, księżniczką Wied, znaną powszechnie pod pseudonimem literackim Carmen Sylwy.

W braku potomstwa następcą tronu jest ks. Ferdynand, syn najstarszego jego brata ks. Leopolda. Ks. Ferdynand, po zrzeczeniu się praw do tronu rumuńskiego przez swego własnego brata Wilhelma, uznany został księciem następcą tronu z tytułem królewskiej wysokości, co zatwierdził dekret królewski z dnia 18 marca 1889 r. W armii austryackiej jest ks. Ferdynand pułkownikiem 6 pułku piechoty, którego właścicielem jest jego stryj, król Karol. Króla Karola wiąże z Austryą stara przyjaźń, której nie zamącą usiłowania jednostek, chcących poróżnić Austryę z sąsiadami, aby przy tym ogniu upiec własną pieczeń. Austrofilskie przekonania swego stryja podziela i książe następca tronu Ferdynand, którego portret podajemy w bieżącym numerze.



Następca tronu rumuńskiego: Książe Ferdynand, któ y wyjeżdża do Wiednia, z życzeniami dla ces.rza.



Mieszkanki haremu sułtańskiego: Pojazdy sułtanek, eskortowane przez eunuchów, powracają z Moszei.

Cesarz Wilhelm i Zeppelin.

Pomimo ostatniej katastrofy w Echterdingen, hr. Zeppelin nie zaprzestał dalszych doswiadczeń a znalazłszy moralne i materyalne poparcie całego niemieckiego społeczeństwa, przystąpił znowu do próby wzlotu, który udał się nadspodziewanie. We wzlocie wziął udział i następca tronu, który wraz z hr. Zeppelinem odbył podróż napowietrzną oraz cesarz Wilhelm, który z dołu podziwiał tryumfy aeronautyki niemieckiej.

Około godziny 2 iej popołudniu (w niedzielę) przybył do Eschingen balon Zeppelina wraz z następcą tronu i oczekując przybycia Wilhelma manewrował dłuższy czas z wielką precyzyą nad dworcem w wysokości około 150—200 metrów nad ziemią. Następca tronu witał z gondoli powiewaniem chustki cesarza i rzucił mu list. Następnie balon puścił się w dalszą drogę ku jezioru Bodeńskiemu, gdzie — jak wiadomo — we Friedrichshafen, wybudowano wielką halę na pomieszczenie zeppelinowskiego balonu.

Po szczęśliwem wylądowaniu nadał cesarz hr. Zeppelinowi najwyższy niemiecki order Czarnego Orła i własnoręcznie mu go zawiesił, przyczem trzykrotnie go ucałował i wzniósł okrzyk na jego cześć.

Publiczność owacyjnie witała cesarza i hrabiego. W swojej przemowie wyraził się cesarz, że ojczyzna może być dumną z posiadania takiego syna, największego Niemca XX. stulecia, który przez swój wynalazek doprowadził kraj swój do nowego punktu rozwoju. Wogóle entuzyazm na rzecz hrabiego-aeronauty doszedł już do punktu kulminacyjnego. Rząd postanowił zakupić balony zeppelinowskie na własność, a posłużą do tego uchwalone na ten cel kredyty oraz narodowa składka, rozpoczęta po katastrofie w Echterdingen, która niemal w mgnieniu oka, zniszczyła dzieło długoletniej żmudnej pracy sędziwego Zeppelina. Składka, rozpoczęta jeszcze niedawno temu, przysporzyła już powyższemu celowi poważne kwoty.

Illustracya nasza przedstawia cesarza Wilhelma wraz z hr. Zeppelinem bezpośrednio po dekoracyi jego orderem Czarnego Orła.

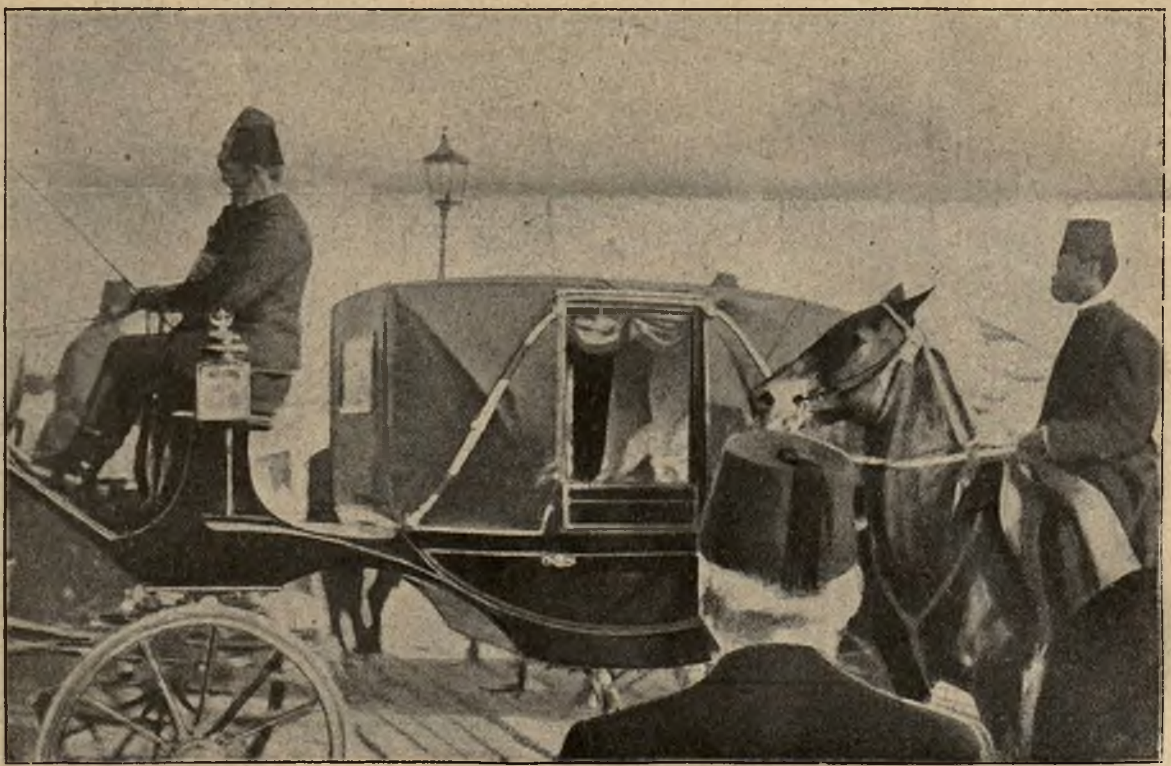


Cesarz Wilhelm i Zeppelin: Cesarz Wilhelm wraz z hrabią Zeppelinem, bezpośrednio po jego dekoracyi.

Zdecydowani zwolennicy alkoholizmu.

Dziedzina pracy społecznej, w której, w porównaniu z wielu narodami, mimo długoletniej i pełnej zaparcia się siebie samego pracy jednostek, a w ostatnich czasach także licznych towarzystw, w tym tylko celu powołanych do życia, doszliśmy do bardzo skromnych wyników, jest bezwarunkowo walka z alkoholizmem, ową straszną plagą wszystkich bez wyjątku społeczeństw, której nie nieszczęśliwe rodziny, stokroć biedniejszę od nich samych.

Rzecz oczywista, iż ani dziś, ani też jutro, nie można się spodziewać dodatnich wyników walki z alkoholizmem, miejmy jednakże nadzieję, że przy pomocy ogółu społeczeństwa, a równocześnie przy współdziałaniu miarodajnych w kraju czynników, uda się może już w niedalekiej przyszłości doprowadzić do pomyślniejszych, niż dotychczasowe wyników, tem więcej, iż chodzi na razie nie o zupełne wyrugowanie z użycia alkoholu, jako napoju, ale o ograniczenie użycia jego przez zamknięcie karczem i szynków na czas od godziny szóstej wieczorem dnia poprzedzającego niedzielę lub święto, aż do godziny szóstej rano dnia następnego po dniu świątecznym, gdyż, jak wiadomo, alkohol w tym czasie cieszy się największym popytem. Myśl ta spotkała się z poklaskiem całego społeczeństwa, a nawet ozwała się donioslem echem w ciągu ubiegłych obrad Sejmu. Zdawaćby się więc mogło, iż przeciwko jej wykonaniu nie podniesie się żaden głos protestu. Tak jednak nie jest, ponieważ sprzeciwili się temu karczmarze i szynkarze, którzy właściwie tylko w tym celu odbyli w ubiegłym tygodniu wiec w Przemyślu, przy współudziale kilkuset delegatów, przybyłych z całego kraju. Wiec ten uchwalił obok szeregu rezolucyj, dotyczących spraw czysto zawodowych, sprzeciwić się zamykaniu karczem i szynków w niedziele i święta, a nadto wystąpił z żądaniem zniżenia opłaty konsumcyjnej krajowej, a to „celem umożliwienia egzystencyi szynkarzy". Miejmy jednakowoż nadzieję, że uchwały, powzięte na tym wiecu, nie odniosą żadnego skutku, boć przecież „egzystencya" szynkarzy nie jest znowu tak złą, jak chcą ją przedstawić, czego dowodem może być choćby ów bankiet, na którym mieli uczestnicy wiecu zabawiać się „aż do późnej nocy".



Mieszkanki haremu sułtańskiego: Przejazd przez most w Galacie.



Z tajemnic walk narodowościowych w Austryi: Pomnik Szuberta w Cieszynie, oblany atramentem przez Niemców

(Kontynuacja pierwszej kolumny:) oparły się nawet na najwyższym stopniu kultury stojące społeczeństwa. Wzrost alkoholizmu, postępujący naprzód także w kraju naszym w zastraszający sposób, obudził wreszcie w ostatnich czasach ogół naszego społeczeństwa z obojętności na doniosłość sprawy walki z alkoholizmem. Wszakże to idzie nie o nic innego, jak tylko o wydarcie nałogowi pijaństwa tysięcy ofiar, które, staczając się skutkiem niego w najwstrętniejszą nędzę, tak fizyczną, jak i duchową, stając się nieraz nawet zbrodniarzami, pociągają za sobą dalsze ofiary, swe



Zdecydowani zwolennicy alkoholizmu. Grupa delegatów miejskich, na zjeździe szynkarzy w Przemyślu.

Pogrzeb Wiktoryna Sardou.

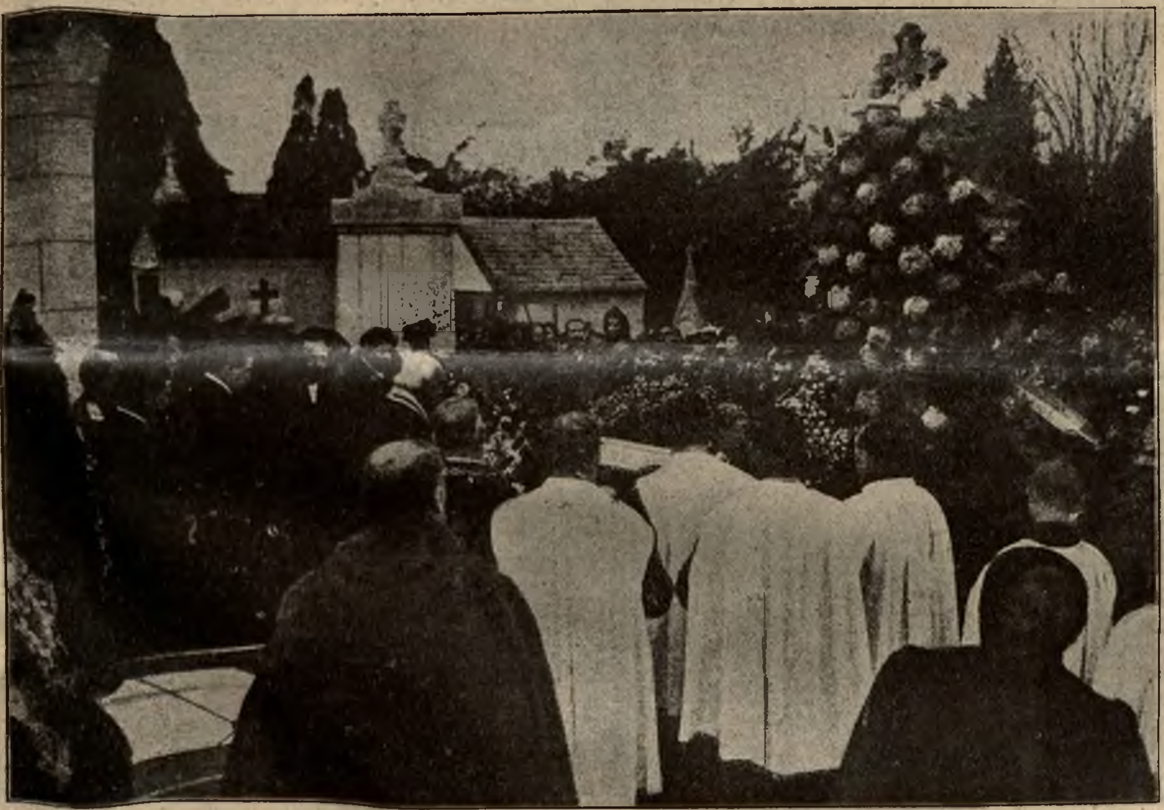
W ubiegłym tygodniu złożono do grobu śmiertelne szczątki wielkiego komedyopisarza francuskiego, Wiktoryna Sardou, zmarłego w dniu 8 listopada.

Obrzęd pogrzebowy odbył się w Paryżu z wielką okazałością przy nader licznym udziale publiczności ze wszystkich sfer społecznych. W pogrzebie wziął udział prezydent gabinetu i kilku ministrów. Po wyniesieniu zwłok z domu, wygłoszono trzy mowy. Minister Doumarque uczcił zmarłego imieniem rządu, historyk Vandal imieniem akademii, której Sardou był członkiem, a Hervieu podniósł ogromne zasługi, jakie Sardou położył jako prezydent stowarzyszenia autorów dramatycznych. Jako kawalerowi wielkiego krzyża legii honorowej oddano zmarłemu także honory wojskowe. Przed domem żałoby ustawiła się piechota, dwa szwadrony kirasyerów i dwie baterye artyleryi pod dowództwem generała Virvaire. Gdy zwłoki wynoszono z domu, rozległ się dźwięk trąbki, wojsko oddało przepisane honory, a orkiestra zaintonowała żałobny marsz Chopina. Pochód skierował się do kościoła, gdzie zebrała się elita świata artystycznego i towarzyskiego. Towarzyszył mu olbrzymi tłum ludu. Po pobłogosławieniu zwłok w kościele, przeniesiono je popołudniu do letniej rezydencyi pisarza w Marly, gdzie złożono je w grobowcu rodzinnym na miejscowym cmentarzu.

W niniejszym numerze zamieszczamy dwa zdjęcia z pogrzebu Wiktoryna Sardou.



Pogrzeb Wiktoryna Sardou: Grupa członków Akademii francuskiej w pochodzie żałobnym.



Pogrzeb Wiktoryna Sardou: Złożenie trumny do grobowca rodzinnego na cmentarzu w Marly le Roi.

Mieszkanki haremu sułtańskiego.

Wyznawcy Mahometa, jak w ogóle wyznawcy wszystkich, a przedewszystkiem monoteistycznych religij, znają post, który w myśl przepisów Koranu odprawiają przez dwadzieścia dziewięć dni Ramazanu, jedenastego miesiąca ich kalendarzowej rachuby czasu. Post ów zachowują muzułmanie w ten sposób, iż przez czas jego trwania przez cały dzień, od wschodu do zachodu słońca, powstrzymują się od spożywania wszelkich pokarmów, odmawiają sobie przyjemności cielesnych, noce zaś poświęcają ćwiczeniom religijnym. Okres tego postu kończy się świętem Bajramu, świętem ofiary, podczas którego zarzynają barany, a następnie rozdają je ubogim. Święto Bajramu ma mimo to charakter święta hulaszczego i odpowiada w pewnym stopniu naszym zapustom.

Dzień piętnasty Ramazanu jest dla mieszkańców Konstantynopola dniem wielkiego święta, w którem biorą udział nawet kobiety i damy z haremu sułtańskiego, opuszczające bramy haremu z zasady jak najrzadziej, w wyjątkowych tylko wypadkach, czem oczywiście jest w pojęciu mahometan obowiązek odbycia pielgrzymki do szczątków płaszcza wielkiego proroka, wystawionych na widok publiczny w pawilonie, poświęconym relikwiom po Mahomecie, który to pawilon znajduje się na jednym z tarasów Seraju w połaci wschodniej miasta.

Pielgrzymkę powyższą do moszei, kryjącej w swych murach jedną z największych pamiątek po proroku, odbywają damy z haremu sułtańskiego, w zamkniętych powozach pod strażą konnych eunuchów, którzy zwartym szeregiem jadą jeden za drugim po obu stronach pojazdów. Przejazd ich odbywa się wprawdzie w tak powolnem tempie, iż zdjęcie takiej kawalkaty nie jest połączone z wielką trudnością, ale też i tem tylko Europejczyk musi się zadowolić, gdyż podszedłszy nawet jak najbliżej do powozu, nie ujrzy nic więcej, jak tylko walczące z półcieniem wnętrza, jasne stroje narodowe kobiet, jadących tym powozem i białe gazowe zasłony twarzy, ukrywające zazdrośnie przed okiem ludzkiem piękność wybranek sułtańskich.

Z tajemnic walk narodowościowych w Austryi.

Niemcy, którzy wszędzie i zawsze przypisują sobie najwyższą kulturę, złożyli podczas ostatnich zajść w Cieszynie niezbity dowód, iż owa, tak przez nich samych zaznaczana ich kultura, jest w rzeczywistości tylko pustym frazesem. W swym narodowym szowinizmie, nie przebierającym w środkach, byle tylko dojść do upragnionego celu, zdobyli się na niebywałą dotychczas w historyi walk narodowościowych w Austryi perfidję. Aby bowiem



Zdecydowani zwolennicy alkoholizmu: Grupa delegatów wiejskich, na zjeździe szynkarzy w Przemyślu.



Skandal w dyplomacyi niemieckiej: Sekretarz stanu, Wilhelm v. Schoen.

odpowiedzialność za wywołanie karygodnych scen, jakie przed trzema tygodniami, w niedzielę, rozegrały się na ulicach Cieszyna, zrzucić z siebie, a obciążyć ofiary swej brutalnej kulturalności, zdobyli się Niemcy na wandalizm, na jaki zdobyć się może tylko zdeprawowany duch dzisiejszych potomków Teutonów. Obecnie już stwierdzono, że, aby stworzyć sobie powód do napadu na Polaków, których zebranie doprowadziło ich do wściekłości, oblali atramentem w nocy dnia poprzedniego pomnik Szuberta, poczem oczywiście rozpuścili wersyę, iż to zbezczeszczenie pomnika ich muzyka, jest dziełem nienawiści Polaków do wszystkiego, co niemieckie. Pomysł iście szatański! zaiste godny osławionej niemieckiej kultury. Zdaje nam się, iż mówi on aż nadto wiele, to też nie uważamy za stosowne, rozpisywać się więcej na jego temat.

Na granicy austryacko-serbskiej.

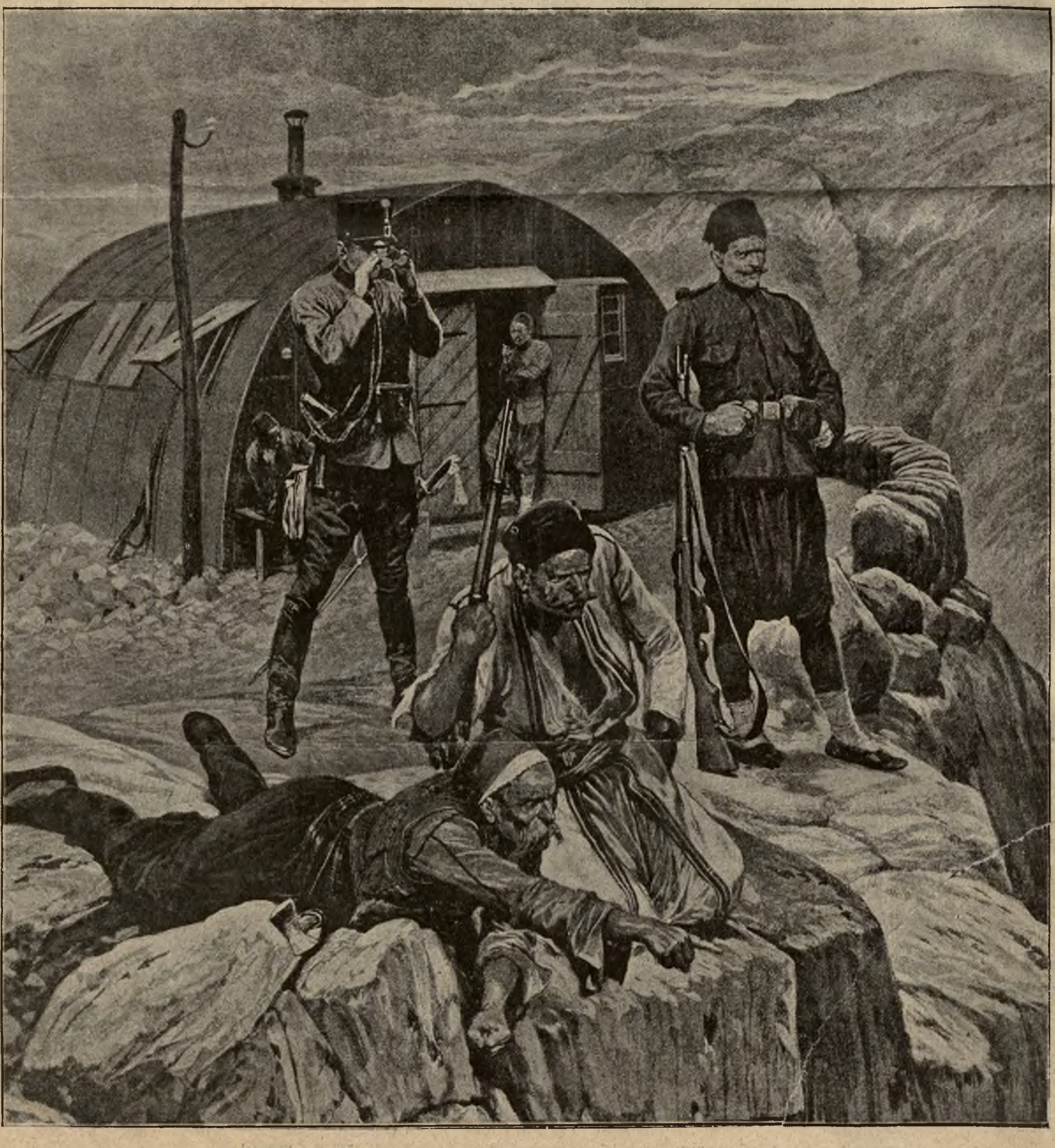
Od czasu powrotu księcia Jerzego z Petersburga, nastrój wojowniczy w Serbii wzmógł się jeszcze bardziej, werbowanie ochotników do legii nie ustaje, drogą na Saloniki nadchodzą coraz to nowe materyały wojenne, a minister wojny zażądał dodatkowego kredytu w kwocie trzydziestu milionów denarów. Wprawdzie rządy angielski, francuski i rosyjski poczyniły przedstawienia w Belgradzie, doradzając spokój i umiarkowanie, opinia publiczna w Serbii jest jednak ciągle za wojną. Na razie ma być celem Serbii wywołać powstanie w Bośni i Hercegowinie, poczem nastąpiłoby wtargnięcie legii ochotniczych na terytoryum austryackie, co musiałoby doprowadzić do wybuchu wojny, nie wcześniej jednak, jak na wiosnę. To też i rząd austryacki, nie pozostaje bezczynnym, a chcąc być przygotowanym na wszelką ewentualność wzmocnił straże wzdłuż granic Serbii i Czarnogóry i wydał polecenie, aby strzelano do każdego, ktoby samowolnie chciał przekroczyć granicę. Celem skutecznej walki z bandami rozbójniczemi, które mogą niepokoić mieszkańców, utworzono w Bośni i Hercegowinie lotne korpusy, jakie istniały w latach 1882—1891. Złożone są one z małych oddziałów, wyekwipowanych bardzo starannie i zaopatrzonych we wszystko, co jest potrzebne do samodzielnego działania. Dobiera się do nich ludzi silnych, zdeterminowanych, a przedewszystkiem znakomitych strzelców — oficerowie powołani będą częściowo z 15 korpusu, częściowo zaś z żandarmeryi bośniackiej i macedońskiej. Oddziałów takich będzie na razie jedenaście, po 3 oficerów i 120 żołnierzy, a będą one zaopatrzone w karabiny maszynowe. Ujęci członkowie band rozbójniczych, będą ulegać sądowi doraźnemu. To zarządzenie przyczyni się bez wątpienia do uspokojenia pogranicza.



Skandal w dyplomacyi niemieckiej: Kanclerz cesarstwa niemieckiego, ks. Bülow.

Zupełnie takie same stosunki panują na granicy czarnogórsko-hercegowińskiej. I z tej strony należy się każdej chwili obawiać wkroczenia band rozbójniczych, gdyż — jak wiadomo — między Serbią a Czarnogórą doszło do skutku porozumienie, czy nawet przymierze na wypadek wojny z Austryą. To też i tutaj wzmocniono straże graniczne i garnizony. Ponieważ teren jest tu górzysty, załogi nadgraniczne mają też utrudnione działanie.

Illustracya nasza przedstawia austryackiego oficera sztabowego, badającego przy pomocy miejscowej ludności ruchy na granicy bośniacko-hercegowińskiej.



Na granicy austryacko-serbskiej: Oficer sztabu generalnego, na nadgranicznej placówce.

Zbrodnicza miłość.

Z pamiętnika angielskiego detektywa.

4 Ciąg dalszy.

— Nie przeczytałem go jeszcze, przekonałem się już jednak, że posiada on dla mnie wielką doniosłość. Jeżeli mam zajmować się tą sprawą na pański rachunek, muszę zachować ten list, a jeżeli nie na pański...

— W takim razie?

— Winienem go oddać policyi.

— W każdym razie nie chce mi go pan zwrócić?...

— Istotnie nie.

W chwilę potem leżałem już na ziemi, walcząc z pastorem, który mnie przewrócił. Schwytany zostałem niespodzianie, nie przypuszczając nawet, by człowiek tej sfery, ubrany w suknię duchowną, był zdolny do podobnego napadu.

Zdecydowany byłem bronić go do ostateczności...

— Pan ma go przy sobie — wołał — albo mi go pan zwróci, albo pana zaduszę.

Walczyliśmy, roztrącając meble, z czego powstał taki hałas, iż chwili każdej oczekiwałem wejścia służącego. Na szczęście jednak pokój mój znajdował się w końcu kurytarza, walka zaś trwała niedługo.

Wkrótce spostrzegłem, że pastor słabnie; zdziwiłem się, że człowiek, tak silnie zbudowany, pozwolił się zupełnie łatwo pokonać. Zdwoiłem swą energię i wyswobodziłem się z jego rąk. W jednej sekundzie oddzieliłem się od niego stołem.

— Atak nie udał się — odezwałem się, oddychając ciężko. Niech pan zrezygnuje, nie zdobędzie pan listu. Może wejść zaraz służący, lepiej więc, że wyniesie się pan stąd zawczasu.

Zatrzymał się przy drzwiach niezdecydowany.

— Co pan wybiera? Czy mam być z panem, czy przeciw panu? — zapytałem.

— Nic nie wiem — wykrztusił. Niech pan wstrzyma się, napiszę. Do tej pory proszę nic nie czynić.

Zgodziłem się. We drzwiach spotkał się z chłopcem hotelowym, któremu wytłomaczyłem.

— Chciałem przesunąć sofę do okna, by mi było widniej, lecz okazało się to niedogodnem i cofnąłem ją na poprzednie miejsce i stąd powstał hałas.

IX.

Zamknąłem uważnie drzwi na klucz, by przypadkiem pastorowi nie przyszła znowu ochota rzucić się na mnie, wyciągnąłem z szuflady list i uważnie odczytałem go. Nie mogłem uwierzyć, że posiadam tak cenny dokument, że zdobyłem tak ważną tajemnicę!

Oto zawartość tego niezwykłego listu:

„Mój drogi Auguście, jestem zrozpaczony. Nie wiem, co czynić. Przyjdź mi z pomocą. Z powodu omyłki tragarzy na dworcu kufer mój zamieniono z kufrem panny Simpkinson. Wiesz, że są one podobne do siebie i w pośpiechu przy ekspedycyi źle je wysłano. Auguście, proszę Cię, **by go nie otwierała**, gdyż inaczej będę stracony. Telegrafowałem do Southend, odpowiedziano mi jednak, że jesteś w Paryżu. Dlaczego? Co się stało? Nie znam jej obecnego adresu. Na miłość Boga niech nie zagląda do mego kufra. Odeślij mi go, jej już wyekspedyowałem. Oczekuję go w znanem mieścu: "Hotel pod starym Negrem". Oddany Ci Patryk".

P. S. Wyślij tylko kufer zaraz, by do niego nie zaglądała. Pokładam w Tobie całą nadzieję“.

Miałem więc w ręku dowód prawdziwości swej hypotezy, że nastąpiła czysto przypadkowa zamiana kufrów. Jakiż to dziwny, a zarazem straszny zbieg okoliczności. Tłum na dworcu, ścisk przy bagażach, niewiele trzeba. Cóż niezwykłego, że żadnego i nienawistnego nie spostrzeżono. Na dworcu, by obrócić w niwecz najbardziej obmyślony plan. Zdawało mi się, że już posiadłem całą sprawę, lecz jakże daleko byłem od prawdy.

Imię właściciela tego kufra było Patryk.

Wyjąłem z swego notesu skrawek papieru, na którym skopiowałem dwie litery P. H., znalezione na białej etykiecie. Położyłem je na stole koło listu i starannie porównywałem P. w podpisie z P. skopiowanem. Przyglądając się im, nie miałem najmniejszej wątpliwości, że P. na etykiecie odnosiło się do podpisanego Patryka. Szukałem następnie między literami dużego H. i znalazłem je w słowie Hotel. Patrzyłem na nie razem.

H

Nie miałem potrzeby zastanawiać się nad nazwiskiem autora listu. Był to Patryk Harvey. Nazwisko właściciela kufra było także Patryk Harvey. Czułem się zadowolony z postępu sprawy. Zbrodni dokonano najprawdopodobniej w niedzielę wieczorem. Dowiedziałem się o niej w poniedziałek popołudniu o pół do siódmej, a dzisiaj była dopiero środa rano, czyli upłynęło od zbrodni dopiero dwie doby. Przedwczoraj nie miałem jeszcze żadnych wiadomości, obecnie zaś znam już nazwisko ofiary, miejsce zbrodni, wiele towarzyszących jej okoliczności, a nawet nazwisko i miejsce zamieszkania mordercy.

Jak się okazaje panna Simpkinson dowiedziała się o zabójstwie dopiero na dworcu, gdy otwarto kufer, który błędnie zupełnie uważała za swój. Nie mogłem tylko wytłomaczyć sobie, w jaki sposób wiedziała ona, kto jest zabójcą. Domyśliła się zapewne i pierwszem jej pragnieniem było bronić członka rodziny jej narzeczonego, bardzo być może, że nawet jego brata. Okazała ona istotnie wielki hart duszy, wyznam jednak, że wolałem w tym wypadku krzyki i omdlenia jej matki; uważałem je za bardziej naturalne.

Teraz należało tylko zbadać, jak i dlaczego popełniono to morderstwo? Sprawa ta mogła być wyjaśnioną tylko w Anglii i jeżeli byłoby to możliwe, przez samego Patryka Harveya. Zatelegrafowałem do agencyi i poczyniłem przygotowania do opuszczenia Paryża. Jakikolwiek, choćby początkujący, najniezręczniejszy detektyw wystarczał do pilnowania mej pary gołąbków w Grand Hotelu. Zamiarem moim było udać się naprzód do Londynu, rozmówić się z szefem, zebrać informacye co do kufra, potem pojechać do Douvres i tam zacząć śledztwo.

Celem, do którego winienem obecnie dążyć, stał się Patryk Harvey. Należało go odkryć, zebrać o nim jak najwięcej szczegółów i schwytać, zanim przybędzie mu na pomoc pastor i ułatwi ucieczkę. Obym tylko nie spóźnił się.

Wkrótce ruszyłem do Anglii. Jeszcze żaden pociąg nie był dla mnie tak powolnym, żadna podróż tak uciążliwą!

X.

Natychmiast po przyjeździe do Londynu i rozmówieniu się z szefem, rozpocząłem dochodzenia w sprawie czarnego kufra. Powiedziałem już, że to straszne odkrycie zrobiono na dworcu północnym w poniedziałek wieczór; w czwartek zaś rano wyjechałem z Paryża, gdyż dopiero w środę w nocy doczekałem się swego następcy.

Przed odjazdem dostałem jeszcze od Augusta Harveya następującą kartę:

„Byłem oszalały dzisiaj rano, nie wiedziałem, co czynię. Zachowanie swe wytłumaczyć mogę tylko strasznem położeniem, w jakiem się nagle znalazłem. Sam pan to przyzna i wybaczy mi. Niech pan nie przerywa swych badań. Wszystko jest lepsze od strasznej niepewności, w jakiej żyję. Aż do nowej informacyi pozostaję w hotelu de la Paix“.

Żal mi się go zrobiło. Czyż można w bardziej szczery i pokorny sposób przyznać się do winy? Tem chętniej mu przebaczyłem, iż sam nazywałem jego położenie strasznem.

Wczesnym rankiem w piątek udałem się do sklepu Browne i Elder, fabrykantów kufrów, 117 Cheapside. Wprowadzono mnie do biura, gdzie zostałem przyjęty przez pana Elder, bogatego przemysłowca.

Magazyn cały przedstawiał się bardzo dostatnio, miałem też nadzieję, że i książki rachunkowe prowadzone są w porządku, a przez to łatwiej uzyskam żądane informacye. Namyślałem się, czy podać się za klijenta, poleconego przez Harveya, czy też poprostu przedstawić się za detektywa. Wybrałem to ostatnie, jako prędzej prowadzące do celu.

Gdym jak najszczególniej opisał czarny kufer, widziany w Paryżu, pan Elder rozpoznał w nim zaraz swój wyrób.

— Kufry te stanowią naszą specyalność — mówił mi. Robione są umyślnie w ten sposób na żądanie naszej klijenteli. Nie są one wytworne, lecz za to mocne i tanie; odpowiednie do przewożenia cięższych przedmiotów, jak książki, przybory do polowania i inne tym podobne. Znalazły one uznanie u publiczności, gdyż sprzedajemy ich bardzo wiele.

— Cieszy mnie to — odpowiedziałem uprzejmie, lecz wskutek tego poszukiwania moje stają się trudniejszemi. Czy kufry te są różnych rozmiarów?

— Tak, mamy je w trzech wielkościach. Zaraz je panu pokażę.

Weszliśmy do składu, gdzie ujrzałem kufry różnych rozmiarów, lecz najzupełniej podobne do czarnego kufra ze zwłokami. Wskazałem na jeden średniej wielkości.

— Oto kufer, o jakim myślę; pragnę tylko dowiedzieć się, czy nie sprzedał pan przed kilku dniami takiego samego pannie Orr-Simpkinson i panu Harvey.

— Mogę odpowiedzieć natychmiast, nawet z pamięci co do pierwszej osoby. Przed ośmiu dniami wzięła u nas jeden pani tego właśnie nazwiska z Southend. Przypominam sobie, iż pisała do nas, nadmieniając, że firmę naszą polecił jej jakiś znajomy. Mogę panu pokazać list.

Zdjął ze ściany wielki plik papierów i po krótkiem w nim szukaniu odczepił jeden list, który rozłożył następnie na stole.

— Oto list panny Simpkinson, wysłany z Southend, o kufer numer 2 za trzydzieści szylingów; pisze, że zwraca się do nas na rekomendacyę jednego z swych znajomych, który z nabytego kufra jest bardzo zadowolony. List datowany jest z przed dziesięciu dni i zawierał czek na należną sumę. W *post scriptum* dodała, iż w kufer ten chce zapakować aparaty fotograficzne ze statywami.

— Jest to dla mnie cenny dowód, ale nie najważniejszy. Czy nie mógłby mi pan dać obecnie jakich wskazówek o panu Harvey, który także kupował tutaj?

— Harvey? Harvey? — powtarzał fabrykant zamyślony, trąc ręką po czole. To musiało być dalеko wcześniej, gdyż nie przypominam sobie takiego nazwiska.

Roztworzył wielką księgę, leżącą na biurku i począł ją przeglądać. Przeprowadzał palcem po długich kolumnach nazwisk, które śledziłem oczami. Fakt, iż panna Simpkinson kupiła tutaj, miał dla mnie nie wielkie znaczenie, wiedziałem już o tem, daleko bardziej zależało mi na sprawdzeniu istnienia i adresu właściciela drugiego kufra czarnego.

Pan Elder zmarszczył brwi.

— Nie znajduję tutaj tego nazwiska — powiedział. Może zanotowane będzie w roku poprzednim.

Wziął drugą księgę tej samej wielkości i szybko ją przeglądał. Naraz twarz jego rozjaśniła się...

— Oto jest Harvey!

Serce mi silniej zabiło. Podsunął ku mnie księżkę i wskazał zapisane nazwisko.

Kufer czarny, wielkość numer pierwszy, sprzedany był przed półtora rokiem panu John Harvey, lekarzowi okrętowemu i został odesłany na pokład statku w Southampton.

— To nie ten, którego szukam. Doktór ten nie może być poszukiwaną przeze mnie osobistością. Zresztą kufer paryski był drugiej wielkości — odpowiedział ajent.

Elder bardzo uprzejmy, przejrzał księgę do końca, nie znalazł jednak tego nazwiska.

— Niema po co szukać w latach poprzednich — odezwał się — kufry te bowiem zaczęliśmy wyrabiać dopiero od dwóch lat.

Podziękowałem mu, choć byłem bardzo niezadowolony z tego wyniku. Przypuszczałem, że może źle przejrzał spisy, nie wydawało mi się to jednak możebnem, gdyż patrzyłem, jak uważnie to czynił.

— Czy może pan rozróżnić swe kufry — zapytałem. Czy mają one różne klucze?

— O tak — odpowiedział — każdy klucz jest inny. Nigdy nie dajemy do kufrów dwóch zamków jednakowych. W kufrach naszych, które istotnie są bardzo tanie, najwięcej kosztują nas zamki. Numerujemy klucze i jestem w stanie każdej chwili odszukać żądany numer, gdyby tego zapragnął nasz klijent.

— Numerują panowie klucze, czy też zamki? — zapytałem.

— Klucze, tylko klucze! Nie byłoby roztropnem notowanie zamków.

Znalazłem tutaj tłumaczenie, dlaczego nie widziałem żadnego znaku na zamku, a pewien jestem, iż gdyby tam był jaki, spostrzegłbym go niezawodnie. Obecnie jednak nie przedstawiało to dla mnie żadnego interesu. Podziękowałem jeszcze raz fabrykantowi i pożegnałem się. Mój Patryk Harvey pozostawał niewyjaśnioną osobistością. Myśl moja powracała ciągle do podobieństwa liter P. H. z podpisem na liście. Jeżeli myliłem się tu-

taj, byłby to niezwykły zbieg okoliczności. Jedyną korzyścią, jaką odniosłem z tej wizyty było odkrycie adresu panny Simpkinson w Southend.

XI.

Magazyn ten opuściłem w wielkiem zniechęceniu. Cały swój plan oparłem na Patryku Harveyu, tymczasem zmuszony byłem powiedzieć sobie, że nie posiadam żadnego, najmniejszego nawet dowodu jego istnienia. Czułem mimo to, że wcześniej czy później nietylko dowiem się, gdzie on się znajduje, ale i poznam go. Posiadałem adres panny Simpkinson w Southend, Parade Marine 23. Mieszkała widocznie o kilka tylko domów od panny Raynell, gdyż Harvey mówił mi, że ciotka jego zajmowała dom pod numerem 17.

Tegoż dnia udałem się do Southend, zastanawiając się po drodze nad dalszym planem swego postępowania. Wszystkie swe wnioski opierałem na tem przypuszczeniu, że czarny kufer ze zwłokami należy do Patryka Harveya, za jedyny zaś dowód jego istnienia służyć mi mogły zaledwie widoczne litery P. H. wypisane ołówkiem w rogu etykiety bagażowej i list adresowany do Augusta Harveya przez jakiegoś Patryka o nieznanem jeszcze nazwisku. Było to więc niewiele.

Zaledwie przybyłem do Southend, udałem się natychmiast pod numer 23. Znalazłem tam dom, jakich całemi masami napotkać można w każdem miejscu kąpielowem Anglii. Ponad głównemi drzwiami widniał napis „pokoje“, nigdzie jednak nie było widać „do wynajęcia“. Zapewne nie było żadnego mieszkania wolnego.

Zadzwoniłem energicznie, co wywołało ten skutek, iż na balkonie ukazała się jakaś majestatyczna dama. Starała się ona zwrócić na mnie uwagę jakiejś Sally, znajdującej się na dole — zapewne służącej od wszystkiego — ta jednak starannie udawała, że tego nie spostrzega. Wówczas sama pani, widząc, że w ten sposób nic nie poradzi, zdecydowała się zejść i po chwili zbliżyła się do mnie z wielką godnością.

— Czego pan sobie życzy? — zapytała.

— Szukam mieszkania do wynajęcia i myślałem, że może...

— Wszystkie moje mieszkania są zajęte — odrzekła sucho pani Bunbury, bo tak się nazywała.

Nie wiem, czy może zachodzić większa różnica pomiędzy osobami jednego zawodu, jak między właścicielką, która ma jeszcze pokoje do wynajęcia, a taką, która już wszystkie wynajęła.

— Żałuję bardzo — rzekłem chłodno. Polecono mi pani pokoje. Zdaje mi się, że w ostatnich czasach zajmowała u pani przez trzy tygodnie mieszkanie pani Orr-Simpkinson.

— Tak panie, była ona u mnie istotnie — lakonicznie odpowiedziała pani Bunbury, która widocznie nie należała do osób rozmownych.

— Były to z pewnością bardzo miłe lokatorki...

— Tak i nie — rzekła pani Bunbury, sznurując swe wargi. Nie sądzę nikogo. Widziałam lepsze i gorsze. Młoda panna była dobra, nie bardzo wymagająca, choć cokolwiek dziwna. Matka jej zato była z rodzaju „nerwowych“, gdy się mówi o zamożnych, lub „nieznośnego charakteru“, gdy rozchodzi się o ludzi uboższych.

Po tej długiej przemowie zamknęła usta z dziwnym odgłosem, jakby obie jej szczęki stuknęły o siebie.

— A więc pani wynajęła już ich apartament? — rzekłem tonem szczególnie uprzejmym. Przykro mi bardzo (było to istotnie prawdą, gdyż chciałem obejrzeć to mieszkanie).

— Tak, jest już wynajęty.

— A czy przypadkowo nie będzie on prędko wolny?

— Wynajęłam go na dwa tygodnie pewnej rodzinie, która ma dopiero przybyć z Londynu.

— Na dwa tygodnie tylko? — zawołałem. A czy potem będzie można go wynająć? Chętnie przystałbym na tę zwłokę, pragnąłbym jednak obejrzeć to mieszkanie.

— Bardzo proszę — prosiła mnie pani Bunbury, uśmiechając się nadobnie. Rodzina, o której wspominałam, przybędzie dopiero jutro, a panie Simpkinson wyjechały już w poniedziałek, może więc pan swobodnie obejrzeć mieszkanie.

Wykrzywiając śmiesznie twarz, co miało zapewne oznaczać najsympatyczniejszy wyraz, chciała poprowadzić mnie na górę.

— Ależ przepraszam — zawołałem — niech się pani nie fatyguje, proszę tylko polecić służącej, by mnie oprowadziła..

Miałem nadzieję, że może służąca będzie rozmowniejsza, niż jej pani.

— Wolę pokazać panu sama — odrzekła pani Bunbury.

Nie bardzo przypadła mi do smaku jej uprzejmość, sprobowałem więc jeszcze jednego sposobu wiedząc, że zawsze można ludzi skłonić do tego, czego się chce, o ile kto dobrze zagra na ich dumie...

— Ależ, szanowna pani, nigdy nie mogę się na to zgodzić! Proszę tylko wydać rozkaz służącej, o i l e ją p a n i p o s i a d a, a będzie to dla mnie zupełnie wystarczającem...



Sally znikła, ja zaś w jednej sekundzie schyliłem się i schwyciłem te resztki papieru.

Od tej chwili jedynem pragnieniem pani Bunbury stało się pokazać mi, jaką to ona ma służącą. Zadzwoniła, lecz ponieważ nikt się nie zjawiał, zawołała głośno: „Sally“.

Po chwili ukazała się Sally bardzo zaczerwieniona, lecz co najdziwniejsze z włosami w porządku. Sally poprowadziła mnie na górę, pani zaś Bunbury skierowała się majestatycznie do swego mieszkania.

Apartament, zajmowany przez panie Simpkinson, nie wyróżniał się niczem, nie było tam nic godnego uwagi. Na stole znajdował się tylko dzwonek, na kominku stał zegar pod kloszem, para wazoników ordynarnych i dwa lichtarze. Wszystko wyczyszczone i przygotowane dla nowych lokatorów...

Wychodziłem już zawiedziony w swych nadziejach, gdy mimowoli rzuciłem okiem na rusztowanie w kominku, w którym mimo ogólnego porządku było sporo popiołu, posypanego grubą warstwą kurzu; dojrzałem tam kilka kawałków podartego papieru. Postanowiłem je na wszelki przypadek pozbierać. Mogły one być zupełnie bezpożyteczne, lecz myślałem, że może szczęście dopisze mi w tym wypadku. Kto wie? trzeba spróbować. Jak je jednak zbierać w obecności służącej? Z pewnością nakazano jej raz na zawsze nie odstępować pod żadnym pozorem osób, przychodzących oglądać mieszkania. Wyjąłem z kieszeni od kamizelki szylinga, by go jej ofiarować.

— Oto proszę za fatygę panienko — odezwałem się.

Gdy ona wyciągnęła swą czerwoną rękę po mo monetę, upuściłem ją i nieznacznie popchnąłem nogą, tak iż zatoczyła się pod komodę. Wyszło to wszystko niezgrabnie, cel jednak został osiągnięty. Dziewczyna rzucała żałosne spojrzenia w kierunku, w którym upadł szyling.

— Trzeba go poszukać — odezwałem się. Pogrzebacz za krótki, niech panienka zejdzie na dół po moją laskę, którą zostawiłem w przedsionku, łatwiej go będzie można wtedy dostać.

Sally znikła, ja zaś w jednej sekundzie schyliłem się i schwyciłem te resztki papieru. Zobaczyłem odrazu, że kilka z nich były to tylko podarte rachunki z magazynów, pomiędzy nimi jednak znajdował się bilet wizytowy z kilkoma słowami. Był on zgięty we dwoje. Rozłożyłem go i przeczytałem nazwisko:

Patryk Harvey.

Na odwrotnej stronie znalazłem te słowa:

„Henryk: 2 - 30 rendez-vous. Co za radość“.

Spostrzegłem odrazu, że H. w słowie Henryk podobne jest najzupełniej do H. w liście, podpisanym przez Patryka i do H. zaznaczonego na etykiecie.

W chwili tej, biegnąc szybko z mą laską, powróciła służąca, tak iż ledwie zdążyłem schować tę kartę do kieszeni.

A więc Patryk Harvey stawał się rzeczywistością. Gdy służąca starała się wydostać szylinga z pod komody, zacząłem rozpytywać ją o lokatorów; okazała się ona bardzo skłonną do opowiadania wszystkiego, co wiedziała. Obie damy mieszkały tutaj przez trzy tygodnie; były one bardzo miłe, starsza tylko pani irytowała się, gdy zmuszona była dzwonić po dwa razy i gdy służąca nie zjawiała się natychmiast, „tak, jakby to człowiek miał cztery nogi“. Nie, one nie przyjmowały dużo osób, nie miały w Southend znajomości. Raz tylko przyszła jakaś starsza dama o bardzo niesympatycznym wyglądzie, z siwymi włosami i złą twarzą; była ona w towarzystwie dwóch mężczyzn, którzy przychodzili bardzo często.

— Cóż to za panowie?

— Jeden to był pastor, a drugi — jego brat.

Pastor ten to bardzo miły człowiek. Bywał on tutaj po kilka razy na dzień. Panna Simpkinson była narzeczoną pastora, co zresztą odrazu można było poznać.

Nie mogłem zrozumieć jasno tego ostatniego zdania, dlaczego to odrazu można było poznać.

— Tak — powtarzała Sally — panna Simpkinson była narzeczoną pastora.

Dowiedziałbym się z pewnością jeszcze nie jednej rzeczy, lecz pani Bunbury poczęła się kręcić po przedsionku.

— O, już pani — rzekła Sally, która wreszcie odnalazła swego szylinga. Muszę już iść na dół.

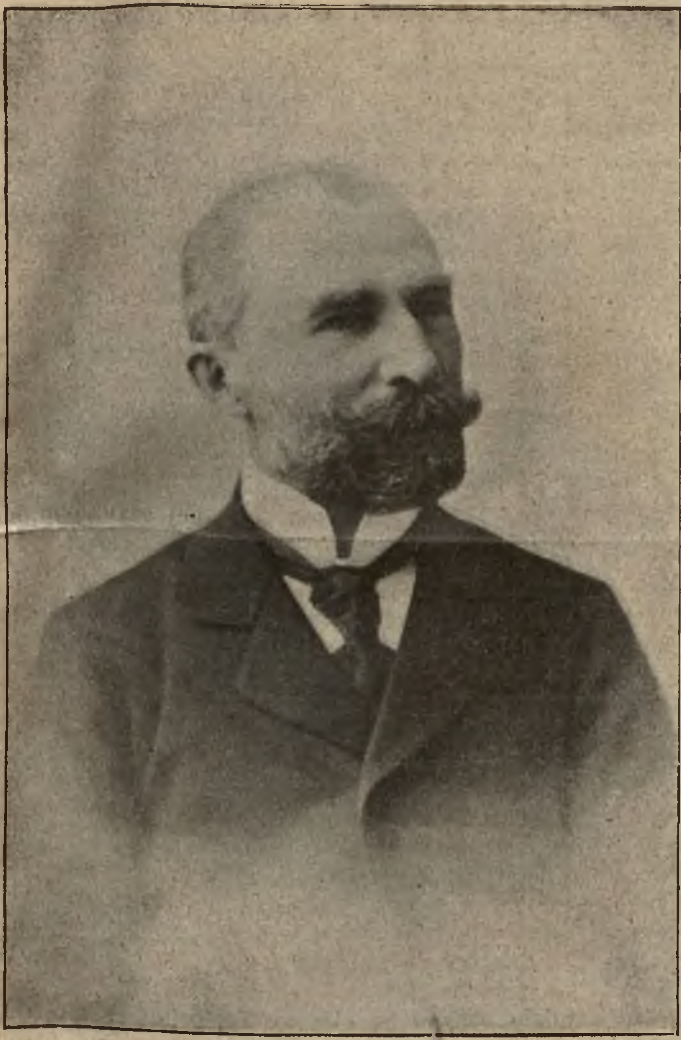
Schodząc, zdążyła mi jeszcze opisać obu panów, którzy tu przychodzili; w jednym z nich rozpoznałem odrazu Augusta Harveya.

— Drugi był do niego podobny, lecz szczuplejszy i bledszy, a mogę dodać, iż dość wesołe prowadził on życie. Ten miał na imię Patryk i miał minę dobrego człowieka.

— Mieszkanie to jest istotnie bardzo miłe — odezwałem się do właścicielki, która oczekiwała nas niecierpliwie przy schodach; zdaje mi się, że będzie ono dla mnie wygodnem.

Zapytałem ją o cenę, która nie wydała mi się wygórowaną, poczem, przyrzekając jej przyjść jeszcze raz, wyszedłem odprowadzony aż do samych drzwi.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Prezydentura Dyrekcyi poczt w Galicyi: Wiceprezydent Ludwik Pikor.

Prezydentura Dyrekcyi poczt w Galicyi.

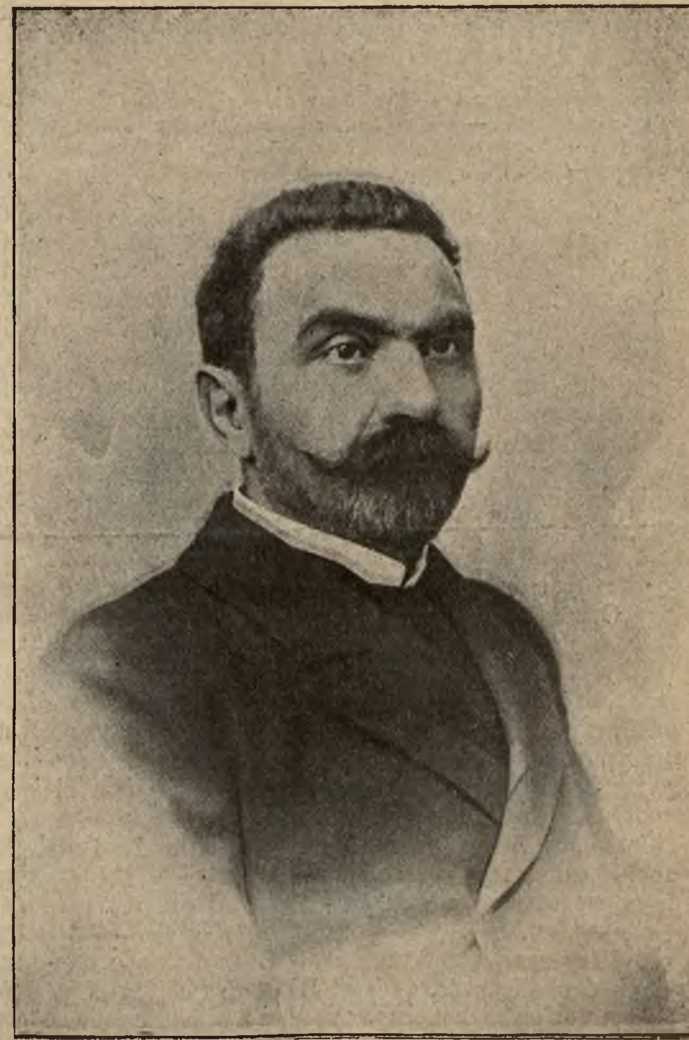
Zapowiadane już od dłuższego czasu wyniesienie galicyjskiej dyrekcyi poczt i telegrafów we Lwowie do prezydentury, zostało przed paru dniami ogłoszone w gazecie urzędowej.

Pierwszym prezydentem galicyjskiej dyrekcyi poczt został mianowany dotychczasowy dyrektor, radca dworu Jan Lubicz Seferowicz, wiceprezydentem zaś radca dworu Ludwik Pikor.

Fakt przemiany i podniesienia charakteru urzędowego szefa galicyjskiej dyrekcyi pocztowej jest niewątpliwie dla całego kraju donośny, równa on bowiem tak ważną instytucyę z innemi władzami krajowemi, z Dyrekcyą skarbu, Radą szkolną krajową i t. d. Prócz galicyjskiej Dyrekcyi tytuł ten otrzymały Dyrekcye poczt w Wiedniu i Pradze.

Z ogólnem też zadowoleniem przyjęto w kraju do wiadomości powołanie na nowo stworzoną godność p. Jana Seferowicza. Jego wielkie zasługi około rozrostu i ułatwienia komunikacyi pocztowej, telegraficznej i telefonicznej w kraju naszym, jego uprzejmość i takt w stosunku ze stronami a wyrozumiałość i życzliwość wobec podwładnych, zjednały mu ogólny mir i poważanie.

Prezydent Seferowicz urodził się 1846 r. w Dubienku, a po ukończeniu wydziału prawniczego na uniwersytecie lwowskim, rozpoczął urzędowanie w magistracie, wnet jednak po tem został powołany do ministeryum Galicyi, następnie zaś pracował kolejno w Dyrekcyi kolei w Krakowie i w ministeryum handlu, a w końcu został mianowany dyrektorem poczt i telegrafów we Lwowie. Od r. 1902 posiada już rangę IV. *ad personam*, nowa godność więc, do której ta ranga jest przywiązaną, przyniosła mu tylko zmianę tytułu.



Prezydentura Dyrekcyi poczt w Galicyi: Prezydent Jan Lubicz Seferowicz.

Wiceprezydent Dyrekcyi, radca dworu Ludwik Pikor, cieszy się oddawna opinią jednego z najzdolniejszych i najwytrawniejszych urzędników i znawców stosunków pocztowo-komunikacyjnych. Rodem z Rzeszowa, od najmłodszych lat przejęty był duchem szczerego patryotyzmu; wypadki z r. 1863 i 1864, na które patrzał jako młody chłopak, wybiły piętno na całym jego charakterze. Po ukończeniu studyów uniwersyteckich pracował krótko w adwokaturze i notaryacie, a w roku 1873 wstąpił do Dyrekcyi pocztowej we Lwowie, gdzie dzięki swej żmudnej i wydatnej pracy zdobył wysokie stanowisko. Przez 2 lata bawił we Wiedniu, powołany do ministeryum handlu. Obecnie został pierwszym galicyjskim wiceprezydentem Dyrekcyi pocztowej. Jest nietylko gorliwym urzędnikiem, ale wzorowym obywatelem, służy też chętnie każdej dobrej sprawie społecznej, czy narodowej. Przez szereg lat przewodniczył w Towarzystwie zaliczkowem urzędników pocztowych, a potem w Towarzystwie czynnej pomocy funkcyonaryuszów pocztowych z nadzwyczaj wydatnym skutkiem.

W numerze niniejszym zamieszczamy portrety obu tych najwyższych urzędników w hierarchji pocztowej, których działalność dotychczasowa przyniosła wielkie korzyści dla rozrostu komunikacyi pocztowej.



Po dwudziestupięciu latach: 1. Dr. August Sokołowski. 2. Poseł dr. Fr. Tomaszewski. 3. Dyrektor dr. Krinz. 4. Emer. prof. W. Stroka. 5. Emer. prof. ks. Soświński. 6. Emer. dyrektor Siedlecki. 7. Prof. Edward Kozłowski. 8. Kr. Karol Łepkowski. 9. Dr. Herman Seinfeld. 10. Ks. dziekan Skoczyński. 11. Dr. Eug. Borzęcki. 12. Ks. kanonik Marcin Ślepecki. 13. Dr. Zygmunt Kuliński. 14. Kaz. Baltaziński. 15. Ks. Jakób Krysa. 16. Dr. Zygmunt Padlewski. 17. Kom. skarb. Jan Łuniewski. 18. Radca policyi dr. Adam Banach. 19. Właściciel drukarni Wacław Anczyc.

Kronika tygodniowa.

(Parlament austryacki. — Przyczvny upadku Becka. — Kandydaci na ministrów. — Wojownicza Serbia. — Polityka Wilusia. — Lwów. — Bomba w Krakowie i inne drobiazgi. — Walka rzeźników. — Japońskie przepisy grzeczności. — Poronin i Brzeżany).

Od czasu ostatniej eksplozyi magnezyowej w Krakowie sytuacya polityczna nie może się w Europie w żaden sposób uporządkować. Parlament austryacki przeżywa chwile agonii, koalicya spoczęła już snem sprawiedliwych, słowem nasze austryackie stosunki przypominają zupełnie sprawy chińskie, gdzie cesarz podobno już nie żyje, a cesarzowa wdowa leży w agonii. Tyle razy czytaliśmy już o zgonie cesarzowej-wdowy, że zdaje się, jakoby ona była nieśmiertelną. Tego niestety nie możemy powiedzieć o naszym parlamencie, który gotów wydać ostatnie tchnienie ze względu na to, że sytuacya znalazła się znowu w bardzo poważnym stanie.

Obecnie przy rozwiązaniu sytuacyi gra rolę *madame* pan bar. Bienereth, zdaje się jednak, że w krótkim czasie nastąpi znowu r o z w i ą z a n i e, ale kto wówczas obejmie polityczne kierownictwo uzdrowienia, dotąd niewiadomo, choć zaczynają napomykać, że w alfabetycznym porządku kolej przychodzi na Ekscellencyę Bilińskiego. Jakkolwiek się stanie, to jednak pewne, że obecnie gabinet bar. Becka poszedł spać, a miejsce jego ma zająć tymczasowy gabinet urzędniczy, po którym, gdy się sytuacya wyklaruje, nastąpi gabinet parlamentarny.

Przyczyną upadku gabinetu Beckowskiego miała być okoliczność, że bar. Beck przyobiecał Czechom rozliczne koncesye narodowe, obietnic jednak nie dotrzymał, co zirytowało przeciw niemu Czechów, a było również powodem, że Niemcy czuli się pokrzywdzeni, gdyż nie mogli przenieść tego po sobie, aby Czechom nawet miano co obiecać. Z tego zrobił się polityczny bigos, który — jak wiadomo — jest bardzo niestrawny, no i zaszkodził koalicyi, która bez pomocy pp. Szafrańskiego, Wolnego i Horakowej przeniosła się do wieczności. Mała strata, krótki żal, dla nas zaś pożytek, gdyż dowiedzieliśmy się dokładnie, ilu mamy mężów politycznych, którzy godniby byli zająć fotel ministeryalny. Aż włosy stawały dęba, gdyśmy czytali gazety i dowiadywali się, kto ma aspiracye na tron po Abrahamowiczu: Stapiński, German, Głąbiński, Kozłowski i inni wyrośli jak grzyby po deszczu, choć właściwie deszczu nie było, tylko mróz.

Była taka gorączka w pogoni za tekami, że nawet tak wprawny introligator, jak bar. Bienerth nie mógł nastarczyć na zamówienia. I w Krakowie było dość kandydatów, ci jednak siedzieli spokojnie nie manifestując swych aspiracyi zbyt głośno, pewni sprawdzenia się przysłowia: siedź w kącie, znajdą cię! Zawiodły ich nadzieje, na razie oko Opatrzności ominęło Kraków, choć wielki, i jego wielkości. Dziś tłumaczą wszyscy swe niepowodzenie tem, że nie myśleli się wcale ubiegać o tekę, wiedząc, że nie będzie się mogło długo jej piastować, gdyż dni gabinetu urzędniczego są policzone, należy go uważać za przejściowy, dopóki sytuacya jakoś się nie wyklaruje.

Te przejścia wewnętrzne tak zabsorbowały cały nasz zmysł polityczny, że zapomnieliśmy zupełnie, iż Serbia nam grozi. Gdym w bieżącym numerze zobaczył niewiasty serbskie z karabinami w rękach, straciłem wiarę w powodzenie austryackiego oręża, pomny starego przysłowia: „gdzie dyabeł nie może, tam babę poszle!“ Wiem z doświadczenia domowego, że kobieta bardzo sprawnie umie się obchodzić z pogrzebaczem, trzepaczką, choćby nawet garnkiem, ale, żeby baby brały się do karabinów i do tego nabitych, o tem historya dotąd milczy.

Co to jednak kłopotu może narobić taki młodzieniaszek jak książe Jerzy! Gdyby nie on, jestem pewny, że serbskie niewiasty byłyby sobie siedziały spokojnie a tymczasem on je tak rozentuzyazmował! Zapomniały o domu, o obiadach, guzikach, skarpetkach swych mężów i t. d., a zabrały się do polityki, coś podobnie jak nasze panie, które odżyją dopiero wtedy, gdy swe błogosławione skutki okaże Związek równouprawnienia kobiet, jaki zakłada się we Lwowie z filiami we wszystkich większych miastach Galicyi, rzecz więc naturalna i w Krakowie. Skończy się nasze panowanie, minie bezpowrotnie, i spełni się stare a doświadczone przysłowie, że mąż jest głową domu, ale żona jest szyją, która tą głową kręci!

Tak jakoś przejąłem się dzisiaj rozmaitemi przysłowiami, że mimo woli przychodzi mi na myśl znowu jedno, które powiada: kto pod kim dołki kopie, sam w nie wpada! Mam tu na myśli cesarza Wilhelma, który dużo krwi napsuł europejskim politykom nim się wreszcie sam zasypał i to bardzo fatalnie. Całe Niemcy zamiast rozpływać się w pochwałach dla swego genialnego władcy, patrzą z niedowierzaniem na jego dotychczasową politykę, a co odważniejsi występują nawet z krytyką i to publiczną, bo przed forum parlamentu. Cesarz wiedział, co go czeka, to też opuścił na ten czas Niemcy i wyjechał do Austryi, znajdując tu przyjemną rekompensatę za niepowodzenia polityczne w myśliwskiem szczęściu. Ks. Bülow tymczasem wyjmował z pieca gorące kasztany, lecz jak dotąd nie zgłoszono go jeszcze do Kasy chorych, widoczna więc, że się nie poparzył. Jak dotąd podziwiałem zawsze spryt Wilusia; ile razy przyszły na niego złe chwile, zawsze spadał na nogi, jak ów kot, który choć leci z trzeciego piętra, przecież się nigdy prawie nie zabije! Tymczasem obecnie stracił grunt pod nogami, wyparli się go nawet najszczersi przyjaciele! Nie pomogło ogłoszenie nowych interwiewów ani korespondencyi z Wilhelminą holenderską, której kazał się ubezpieczyć przed atakiem Anglików, wielkość jego leży zdruzgotana, jak owa ściana kamienicy przy ulicy Zyblikiewicza, która na złość budownictwu miejskiemu miała przyjemność się nareszcie zawalić!

Ale dosyć już tych peregrynacyi po bystrych fluktach polityki, któreby mnie jeszcze mogły unieść gdzieś za daleko! Trzeba w obecnej kronice poświęcić więcej miejsca naszemu wielkiemu Krakowowi i wogóle Galicyi, o których w ostatnich czasach mniej wspominaliśmy, zajęci polityką wielkoświatową. O Lwowie nie ma co pisać, aby przypadkiem nie wkroczyć w sferę działalności kolegi, piszącego z lwowskiego bruku. Nie mogę się jednak powstrzymać, aby nie wspomnieć o dwu ważnych wydarzeniach lwowskich, t. j. o zaćmieniu elektryki i procesie apelacyjnym posła Jampolskiego, którego jakaś szynkarka z Cieszanowa zaskarżyła o 980 koron za kiełbasę wyborczą. Chciałem obliczyć, wiele to będzie kilometrów tej kiełbasy, jednak zgubiłem rachunek. Daleko ważniejszem zdarzeniem było aresztowanie na placu św. Ducha jakiegoś Serba z tresowaną małpą, na wyraźną prośbę jednak bar. Aerenthala nic o tem nie wspominam, aby nie wywołało to jakich nieporozumień dyplomatycznych. Swoją drogą nie zdziwiła nikogo ta kombinacya: Serb i małpa, gdyż jak wiadomo i książe Jerzy lubi sobie czasem „kupić małpę!“ Ciekawy jestem, jak się uda Jurciowi podróż do Konstantynopola, gdyż przyznam się szczerze, że gdybym był jego ojcem, ze względu na pokusy haremowe nie pozwoliłbym mu tam jechać, jak to mnie uczyniła niedawno moja czcigodna połowica.

Nasz jeszcze nie rozszerzony Kraków ubiegły tydzień przespał zupełnie spokojnie. Ponieważ strach ma — jak wiadomo — wielkie oczy, więc też od ostatniego wybuchu magnezyi wietrzono ciągle za bombami i rzeczywiście w składzie węgli na ulicy Pawiej znaleziono bombę, która przeraziła spokojnych Krakowian. Z należytą paradą przewieziono ją do policyi, gdzie zbadał jej zawartość inżynier Sippel i przekonał się, że był to zupełnie niewinny woreczek, napełniony proszkiem węglowym. Ale w każdym razie była sensacya! Potem wyprowadziło Krakowian z równowagi urwanie się gzymsu „pod Baranami“, co równie miejscowi astrologowie uznali jako zły prognostyk na przyszłość, rychło o nim jednak zapomnieli, nurkując ciągle w polityce i robiąc polityczne kombinacye.

Dzięki temu konsumcya alkoholu pod postacią kwaśnych z mocną i bombek wzmogła się w trójnasób, a wszystkie lokale śniadankowe zamieniły się na kluby polityczne. Chwalili też sobie sytuacyę gospodarze tych lokali i to ostudziło im przykrą rzeczywistość, gdyż policya, bardzo widocznie niemuzykalnie usposobiona, urządziła krucyatę przeciw automatom muzycznym, umieszczonym po restauracyach i ze względu na całość uszu lokatorów i kieszeni robotników kazała im w sobotę i niedzielę zupełnie zamilknąć. Krakowscy melomani bardzo się skutkiem tego rozporządzenia zasmucili.

Archeologów naszych poruszyła znowu wiadomość, że owe zabytki krowoderskiej architektury, pod postacią bromowych przez p. Kosobuckiego ruin koło kościoła św. Idziego skazano bez rekursu na zburzenie. Nie pomogły płacze, ni biadania naszych pseudoarcheologów, Kraków uboższy będzie o jedną więcej ruderę!

Na ostatniem posiedzeniu Rady miasta wystąpił p. Bialik w obronie uciśnionych rzeźników narzekając, że magistrat krakowski i Rada miejska forytując dostawców mięsa z Piasków narażają b i e d n y c h rzeźników na wielką stratę, tworząc im przez to konkurencyę, która przeszkadza w wyśrubowaniu cen mięsa do niebywałej wysokości. Nie pomogły tłumaczenia magistratu, że przecież Piaszczanom utrudnia się o ile możności dostawę mięsa dla Krakowa, panowie rzeźnicy obrażeni są ciągle na magistrat. Drugim powodem niezadowolenia ich jest okoliczność, iż Rada miejska popiera Związek urzędniczy ułatwiając mu nabywanie mięsa po cenach przystępniejszych. I w tej sprawie p. Bialik walecznie kruszył kopię w obronie zagrożonych interesów braci rzeźniczej, a popierał go p. Miedniak wprawdzie nie „z animozyi względem urzędników“, lecz ze względów koleżeństwa z p. Bialikiem oraz p. Wolny. Że ten ostatni występuje przeciw mięsożerstwu urzędników to rzecz całkiem zrozumiała, gdyż z głodzeniem się urzędników idzie w parze i powiększenie się klienteli p. Wolnego, który z należytą uprzejmością ułatwia każdemu przejazd za żelazną bramę w Rakowicach. Odpowiedzią na te lamenty rzeźników powinien być ogólny strajk krakowskich mięsożerców, co wpłynęłoby uspakajająco na panów, jak ich nazywa Wicek Socyalik „golibyków“.

Na tem samem posiedzeniu Rady miejskiej zastanawiano się także, czyby w Krakowie nie wprowadzić przepisów grzeczności, wprowadzonych w Japonii. Rzecz naturalna, że na to nie chciano się zgodzić, gdyż Krakowianie nie potrafiliby żyć według nich. Czytamy tam, że cudzoziemców nie należy w sklepach obdzierać ze skóry, nie należy gapić się na nich i włóczyć za nimi gromadnie, w urzędach winno się z nimi grzecznie obchodzić — słowem przepisy choć japońskie, ale bardzo zdałyby się i na galicyjskim gruncie! Wtedy radca Schwarc nie potrzebowałby narzekać, że w Sukiennicach i ulicy Grodzkiej przemocą wciąga się przechodniów do niektórych sklepów.

Na zakończenie wspomnieć muszę o dwu grożących nam niebezpieczeństwach. *Primo:* Poronin idzie na licytacyę, a ostrzy sobie na niego zęby ks. Hohenlohe, wielki przyjaciel Polaków; *secundo* zamek brzeżański ma być zamieniony na fabrykę, gdzie jakiś Czech lub Szwab będzie robił kołki do butów lub warzył piwo! Do czegoś podobnego nie powinno się nigdy dopuścić, byłoby to dla nas hańbą, gdyby pod bokiem Zakopanego rozsiadł się pruski hakatysta, lub gdyby zniknął z widowni jeden ze zabytków naszej świetności, jakim jest bezwątpienia zamek Sieniawskich w Brzeżanach! Niech sobie jednak nikt nie robi nic z tego, gorycz tę osłodzić powinna wiadomość, że zawiązuje się w Galicyi konsorcyum, które ma zamiar zbudować aż dziesięć cukrowni. Choć głodno i chłodno będzie jednak słodko! Inspektorowie podatkowi aż zacierają ręce z radości prosząc Boga, aby też cukrownie zbudowano w ich powiecie, oni już poprą przemysł krajowy w sposób dotąd powszechnie znany i uznany!

X.

Zmiana gabinetu w Austryi.

(Do illustracyi na stronie 4).

Stało się wreszcie to, co było do przewidzenia od dłuższego czasu — gabinet bar. Becka upadł, pomimo, a może właściwie dlatego, że liczył wielu popleczników w Radzie państwa.

Przedewszystkiem stronnictwo chrześcijańsko-społeczne, które gwałtownie prze do zmiany polityki wewnętrznej austryackiej w kierunku na prawo, kopało dołki pod bar. Beckiem, pragnąc jaknajprędzej dostać władzę w swe ręce. Dalej zaś Niemcy, podobnie jak i Czesi, nie mogli się doczekać rozwiązania zatargu narodowościowego. Wszędzie bar. Beck się już poniekąd zużył, wyczerpawszy swą energię przy przeforsowaniu.

W trudnych bardzo warunkach objął po poprzednim gabinecie spadek gabinet nowy, urzędniczy, na czele którego stanął bar. Bienerth i wątpić należy czy się długo przy sterze utrzyma.

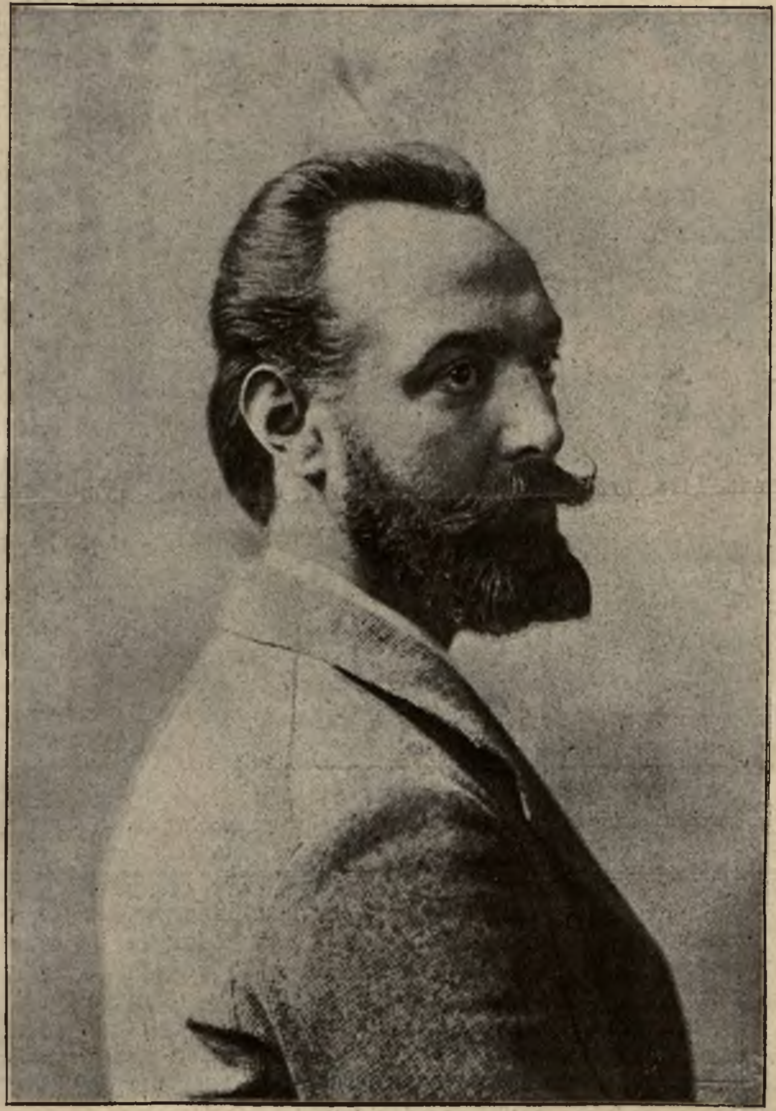
Skandal w dyplomacyi niemieckiej.

Cesarz niemiecki, którego wszechstronne zdolności podziwiał już niejednokrotnie cały świat cywilizowany, dorzucił w ostatnich czasach do laurów sławy, zebranych występami w charakterze to kaznodziei i mowcy, rzeźbiarza, muzyka, malarza i dramatopisarza, to wreszcie reżysera baletów, nowy wawrzyn, uzyskany za swój najświeższy występ w roli wytrawnego męża stanu i polityka o pokroju *par exellence* europejskim.

Cesarz Wilhelm II. zabawił się, jak zapewne już z pism codziennych wiadomo o tem naszym Czytelnikom, w swego kanclerza, i występ w tej nowej roli upamiętnił owym słynnym interwiewem, ogłoszonym przez jeden z najpoczytniejszych organów codziennych w Anglii przez *Daily Telegraph*. Interwiew ten miał na celu obudzenie większej sympatyi w zimnych synach Albionu. Odniósł jednakże skutek wręcz przeciwny, gdyż poruszył nietylko opinię publiczną całej Europy, ale — co ważniejsze — obudził społeczeństwo niemieckie z bałwochwalczego uwielbienia dla zdolności *serenissimusa*, które w tym wypadku mogły bardzo łatwo wyrządzić polityce zagranicznej niedźwiedzią przysługę i powiedziawszy poprostu ubrać Niemcy w nielada kłopot.

Do jakiego zaś stopnia opinia publiczna w Niemczech oburzoną jest na władcę i odpowiedzialnych w myśl konstytucyi za jego czyny najwyższych urzędników państwa, w pierwszym rzędzie na kanclerza Rzeszy, to łatwo można wywnioskować z przebiegu dwudniowej dyskusyi w parlamencie niemieckim nad interpelacyą, wniesioną przez obóz liberalny w sprawie owego interwiewu i nad odpowiedzią kanclerza.

Wszystkie stronnictwa, nawet najbardziej wierne, potępiły niedwuznacznie jego ostatni krok, a niejedną także pigułkę połknąć musiał przy tem ks. Bülow, który bardzo dwuznacznie wystąpił w obronie cesarza. To też lada dzień spodziewać się należy ustąpienia ks. Bülowa ze stanowiska kanclerza, jak nie mniej dymisyi von Schoena, obecnego sekretarza stanu w urzędzie spraw zagranicznych, bo przecież muszą się znaleźć winni, których ma spotkać kara, gdy najwinniejszy... jest nietykalnym.



Antoni Hekking.

Po dwudziestu pięciu latach.

Dwadzieścia pięć lat — szmat czasu niezbyt wielki, a jednak, ile to się przez ten czas zmieniło! Z młodzieńców, rwących się do życia, żywiących najbardziej różowe nadzieje stali się dzisiaj mężowie poważni, zasłużeni dla społeczeństwa, a choć niejednemu siwizna przyprószyła włosy, przecież spotkawszy się po tylu latach, przypomnieli sobie w jesieni swego życia ową wiosnę i owe ideały, które wówczas zagrzewały ich serca, a którym i dziś zostali wierni! Ten zjazd koleżeński w dwadzieścia pięć lat po zdaniu egzaminu dojrzałości to wielkie święto dla każdego z uczestników, któremu opatrzność pozwoliła doczekać tak podniosłej chwili.

Zjazd, który w ubiegłym tygodniu odbył się w Krakowie pozostawił niezatarte wspomnienie w sercach uczestników. Z licznej niegdyś VIII klasy zjechało się ośmnastu, inni z powodu przeszkód przybyć nie mogli, część zabrała nieubłagana śmierć. Widzieliśmy pośród jubilatów, bo tak ich słusznie nazwać można, znane i poważane w kraju i mieście osobistości jak pp. Wacława Anczyca, radcę policyi dr. Banacha, prymaryusza prof. dr. Borzęckiego, członka Wydziału krajowego dr. Dąmbskiego, prof. Kozłowskiego, ks. Krysę, mecenasa dr. Łepkowskiego, dr. Schumanna, mecenasa dr. Seinfelda, księży Skoczyńskiego i Slepickiego. Z pomiędzy profesorów zjawiło się sześciu: dr. Kranz, dyrektor gymnazyum w Podgórzu, dyrektor Siedlecki, dr. August Sokołowski, W. Stroka, ks. Soświński i poseł do Rady państwa dr. Fr. Tomaszewski.

Uroczystość rozpoczęła się nabożeństwem w katedrze na Wawelu, po którem w podniosły sposób przemówił do kolegów ks. Jakób Krysa. Po zebraniu w gimnazyum i wspólnej fotografii odbyła się wieczorem w salach Grand Hotelu uczta jubileuszowa, do której zasiedli byli profesorowie wraz z swymi uczniami. W czasie uczty wygłoszono szereg podniosłych toastów i w miłej a serdecznej pogawędce przypominano sobie dawne czasy, obiecując sobie w niedalekiej przyszłości zjechać się znowu, aby zacieśnić jeszcze bardziej te węzły, które mimo tyloletniej rozłąki przecież się jeszcze nie rozluźniły. Cała uroczystość pozostawiła po sobie miłe i podniosłe wrażenie tak w sercach byłych uczniów jak i ich nauczycieli.

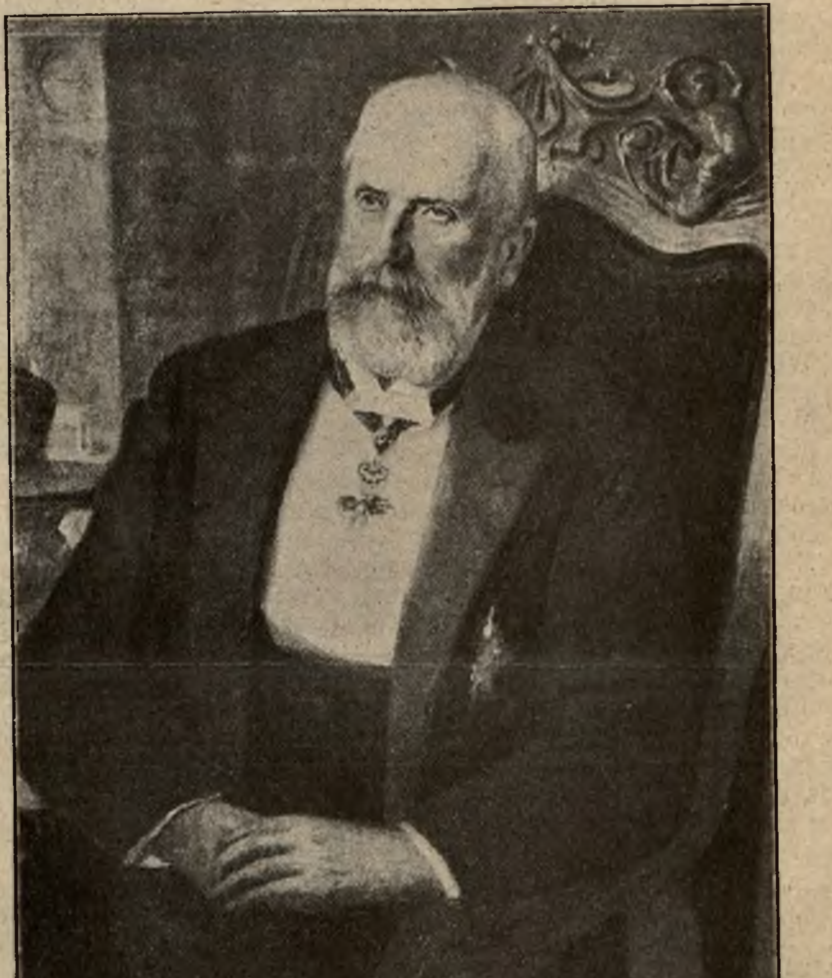
Illustracya nasza przedstawia zbiorową grupę uczestników zjazdu, profesorów i uczniów w dwadzieścia pięć lat po egzaminie dojrzałości.

Nowożytny Nemrod.

W Niemczech wre, opinia publiczna jest tak wzburzona przeciw cesarzowi, jak się to dotąd jeszcze nie wydarzyło od czasu wskrzeszenia niemieckiego cesarstwa. Najzagorzalsi nawet zwolennicy idei monarchicznej konstatują, że państwo



Nowożytny Nemrod: Cesarz Wilhelm i arcyks. Franciszek Ferdynand d'Este, na polowaniu w Eckartsau.



Jubileusz małego panującego: Jan II. ks. Liechtenstein.



Nowożytny Nemrod Zamek Eckartsau, gdzie cesarz Wilhelm gościł na polowaniu u arcyks. Franciszka Ferdynanda d'Este.

otrząść się musi z osobistych rządów Wilhelma, którego gadatliwość i nietakt stały się prawdziwą plagą zagranicznej polityki Niemiec.

Cesarz podróżnik, cesarz-mówca, cesarz muzyk, cesarz-strategik, cesarz kompozytor baletów i t. d., znany jest z lekceważenia, okazywanego przedstawicielom swej ojczyzny, zgromadzonym w Sejmie Rzeszy. Nie tak dawno przecież temu polecił kanclerzowi rozwiązać poprzedni parlament, wysławszy doń krótki telegram: „Rozpędź pan tę bandę“! Nikt jednak nie przypuszczał, aby i teraz, gdy sytuacya jest tak poważna zarówno w samych Niemczech, jak i w całej Europie, okazywał niesłychaną obojętność na to, co się dzieje w świecie politycznym.

Zamiast siedzieć w stolicy swego państwa — gdzie z mównicy parlamentarnej padają nań tak silne, ale zasłużone gromy, wywołane słynnym interviewem, ogłoszonym w *Daily Telegraph*, czyni on wycieczki za granicę na polowania, zajmuje się sprawą balonów do kierowania, wydaje przepisy jak mają żołnierze krzyczeć hurra! — wogóle zajmuje się wszystkiem, tylko nie tem, czem powinien się zająć.

Obok załączona rycina przedstawia go nam właśnie w towarzystwie gospodarza, arcyks. Franciszka Ferdynanda d'Este, gdy stoi na stanowisku podczas polowania w Eckartsan, gdzie bawił niedawno temu.

Z lwowskiego bruku.

(O Towarzystwie pokatnem »Alliage« i jego upadku. — Wyjaśnienie naszej mo alności. — Słówko o panu Juliuszu Tennerze, wszechstronnym geniuszu).

Najgłośniejszą sprawą ubiegłego tygodnia było zamknięcie Towarzystwa „Alliage“. Pisały już o tem wszystkie dzienniki, więc i mnie wypada słów kilka o tem powiedzieć, mianowicie zupełnie co innego i zupełnie coś nowego, o czem niestety żaden dziennik nie wspomniał, bo może żaden — z wyjątkiem *Wieku Nowego* — o tem wszystkiem nie wiedział.

Nie ulega oczywiście żadnej wątpliwości, że Tow. „Alliage“, jak tyle innych stowarzyszeń asekuracyjnych, czy humanitarnych, przekraczało swój statut i miało nie jeden grzech na sumieniu. Więc dobrze się stało, że to towarzystwo zamknięto, a smutno tylko, że wogóle pozwolono mu tak długo grasować po kraju. Jeżeli się okaże, że wszystkie, czynione mu w dziennikach zarzuty są prawdziwe, to będzie to smutnem świadectwem dla naszych władz, które na podobne nadużycia pozwalają, zatwierdzając statut i tolerując jego systematyczne przekraczanie.

To jest rzeczą pewną, i o tem nie ma dwóch zdań.

Inną rzeczą jest, kto zwrócił uwagę na te nadużycia, jaki miał cel i pobudki, oraz jaką szedł drogą. Na te pytania odpowiemy szczegółowo, wysuwając naprzód mały wstęp.

We Lwowie, jak i w każdem mieście, dzieją się bardzo liczne nadużycia na każdym kroku, nadużycia znane, systematycznie uprawiane, niemal legalizowane i uprzywilejowane, a więc nietykalne. Wie o nich każdy i nikt ich nie podnosi publicznie, bo równałoby to się zamiarowi przewrócenia świata do góry nogami.

Zwyczajnie tak się dzieje, że o nadużyciu dowiaduje się powołana do tego władza, wkracza, robi swoje, i podaje fakt do publicznej wiadomości. I tak być musi. Gdyby bowiem dzienniki zajmowały się wykrywaniem szelmostw, musiałyby wszystkie swoje szpalty poświęcać denuncyatorstwu, co przecież nie jest zadaniem prasy. Donosami do władz, zajmuje się zwyczajnie zawodowy denuncyat, konkurent, lub szantażysta, któremu nie udało się wymusić jakiejś kwoty za zamilczenie. Od czasu do czasu powstają nawet specyalne pisemka, które z tego przez pewien czas się utrzymują, aż w ich reformatorską działalność wmiesza się władza, i szantażystę zamyka. Jeżeli zdarza się, że prasa codzienna podnosi jakiś fakt w interesie ogółu, to czyni to nie dla zrobienia interesu na denuncyacyi, nie dla marnego zarobku, ale z poczucia obowiązku. Gdyby zaś podniosła nawet najbardziej rażące nadużycie tylko w celu zrobienia na tem dobrego interesu, to nie różni się niczem od pospolitego denuncyanta, który dla uzyskania nagrody robi donosy do władzy, a w najlepszym razie bierze na się rolę tajnego ajenta policyi, a więc szpicla, który za pewnem wynagrodzeniem donosi o nadużyciach, chociażby prawdziwych. Słowem: prywatny interes nie powinien istnieć, a tem mniej być pobudką w podnoszeniu nadużyć w prasie. Tymczasem co się dzieje u nas? Skąd się wzięła nagła moralność, oburzenie na nadużycia, płomienna obrona interesu ogółu? I znowu musimy się cofnąć nieco wstecz.

Do redakcyi *Wieku Nowego* wstąpił w charakterze wspólnika niejaki p. Juliusz Tenner, sekretarz węgierskiej asekuracyi „Fonciere“, a wstąpił jakoś przed rokiem, gdy powstała nowa spółka wydawnicza, a raczej gdy do spółki dotychczasowej przystąpili pp. Aschkenaze i Loewenstein. P. Jul. Tenner miał reprezentować pewną część udziałów dra Aschkenazego i mieć udział w administracyi nowej spółki, jako reprezentant nowych spólników. Dzięki wrodzonemu sprytowi do wciskania się i wścibiania nosa nawet tam, gdzie nie ma nic do powiedzenia, wcisnął się p. Tenner i do redakcyi, którą od tego czasu trzęsie jak dyktator. Bliżej obeznani ze stosunkami żałują tylko ludzi godnych, redaktorów Laskownickiego i Szenderowicza, że dziś stali się tylko narzędziami w ręku asekuracyjnego urzędnika, który z dziennikarstwem dotąd miał tyle tylko wspólnego, że mu w kilku redakcyach umieszczono kilka jego marnych artykułów — w koszu. P. Tenner chciał odrazu pokazać dawnym właścicielom *Wieku*, że podniesie poczytność pisma swoim sprytem no i — artykułami. Próbował sił jako humorysta, pisał, a raczej kiepsko tłómaczył dowcipy, wywracał koziołki, brał coraz nowy pseudonim, aby zmylić czytelników, którzy dawne jego pseudonimy pamiętali — ale nikt tych bezdennych bzdurstw czytać nie chciał, i liczba czytelników gwałtownie spadała. O tem zresztą dałoby się bardzo wiele jeszcze napisać, ale teraz nie pora na to, a zresztą nie chcielibyśmy wyrządzić przykrości pp. Laskownickiemu i Szenderowiczowi, których bardzo cenimy a zarazem żałujemy, że dostali się w tak sympatyczne ręce.

Widział więc p. Tenner, że, jak dawniej na akrotnwie, potem na deklamacyach, a wreszcie na tłumaczeniach i literaturze, interesu nie zrobi, więc powiedział sobie roztropnie a chytrze: „Schuster bleib bei deinem Leisten“ i szukał geszeftu dziennikarskiego w asekuracyi. Mądry człowiek — powiedział sobie p. Tenner — a za takiego się ma — powinien wyzyskać dziennikarstwo dla asekuracyi, a asekuracyę dla dziennikarstwa, i zabrał się odrazu do interesu. Chodziło mu przecież koniecznie o podniesienie nakładu *Wieku*, aby wykazać, że przecież coś potrafi, więc obmyślił następujący genialny plan. Pójdzie do wszystkich bez wyjątku asekuracyj i powie im tak: Słuchajcie przyjaciele, mam dla was złoty interes (on ma dla każdego jakiś złoty interes, jak każdy ajent asekuracyjny) — ja zacznę w moim *Wieku* hepać wszystkie drobne asekuracye, ale — nie darmo. Musicie się zobowiązać, że każda z was weźmie z każdego numeru, w którym będzie artykuł przeciw naszym małym konkurentom — po 500 egzemplarzy, wydatek jest drobny, my naszych konkurentów pobijemy na głowę, bo za to o naszych szwindlach nic nie napiszemy. A więc nie powiemy, jak się u nas traktuje skandalicznie swoich urzędników, jak się ich z rodzinami na bruk wyrzuca, jakie kruczki i szelmostwa mają nasze statuta, jak my zatykamy usta tym, którzy głośno krzyczą o naszych sprawkach w rubryce „Nadesłane“ i o stu innych rzeczach i będzie wszystko dobrze. A co najważniejsze — to już dodał w duchu — że nakład mojego *Wieku* będzie mógł wykazać co najmniej raz w tygodniu o parę tysięcy egzemplarzy więcej! Otóż o to chodziło! I szły artykuły za artykułami, bo p. Tenner chociaż mógł wszystko napisać w jednym dobrym artykule, rozdzielił ten materyał na małe porcye, aby różnym asekuracyom wlepić po kilkaset egzemplarzy, niby dla rozsyłania między agentów,a właściwie, aby zapłaciły honorarym za denuncyacyę.

A jaki był koniec. Nie na artykuły *Wieku*, ale dopiero na artykuł *Kuryera Lwowskiego*, swoją drogą, jak wieść głosi, inspirowany, władza wkroczyła w szachrajkę „Alliage„ i zamknęła towarzystwo. Teraz jest huczek.

Chodziło mi tylko o podkreślenie, jaki podkład moralny ma cała sprawa, jakie pobudki były, i jakie cele — a o tem wszystkiem prasa lwowska nic nie wie i nie wspomina.

Ten p. Tenner, który zasługuje na osobne studyum, jest wszechstronnym geniuszem. Jak długo jego geniusz siedział cicho i robił w cichości, nikogo nie obchodził. Skoro zaś strzelając z za płota narobił huku, należało wyświetlić całą sprawę i wskazać na jej istotny podkład. Ale prawda — zapomniałem o jednem: cel uświęca środki. Otóż nie zawsze i nie wszędzie.

Znajdzie się wkrótce sposobność, by wykazać to na licznych, bardzo licznych przykładach. A my nawet nie zażądamy od p. Tennera, aby od nas — odkupił 500 numerów *Nowości*. (***)

MAGAZYN KONFEKCYI DAMSKIEJ WACŁAWA MŁODECKIEGO W KRAKOWIE.

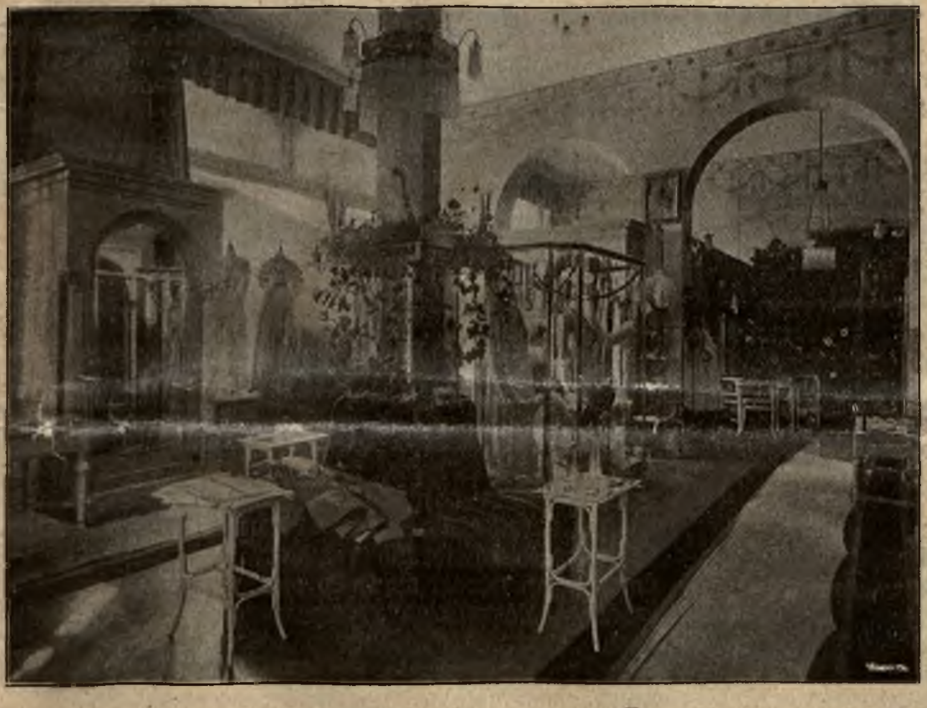
W roku bieżącym, w dniu 9 kwietnia po Mszy świętej w prastarym kościele Najśw. Maryi Panny, poświęconym został w Krakowie jeden z najwspanialszych magazynów konfekcyi damskiej pod firmą Wacława Młodeckiego.

Otworzony w przebudowanej nowo kamienicy w Rynku głównym, tuż obok świątyni wspomnianej, magazyn ten zajął większą część parteru oraz całe pierwsze piętro. Już sama wystawa sklepowa składa wyraźny dowód tego, że młody właściciel magazynu, po dłuższej swej praktyce, odbytej za granicą, ma wyrobiony w istocie smak w zakresie zawodu, któremu się poświęcił. Wewnętrzne zaś urządzenie całego magazynu, wzorowane na urządzeniach pierwszorzędnych firm zagranicznych, dalej olbrzymi sortyment najróżnorodniejszych kostyumów, począwszy od najskromniejszych, a skończywszy na najbogatszych, ułożony z wybrednym smakiem i gustem w jedną efektowną całość, sprawia zaiste imponujące wrażenie.

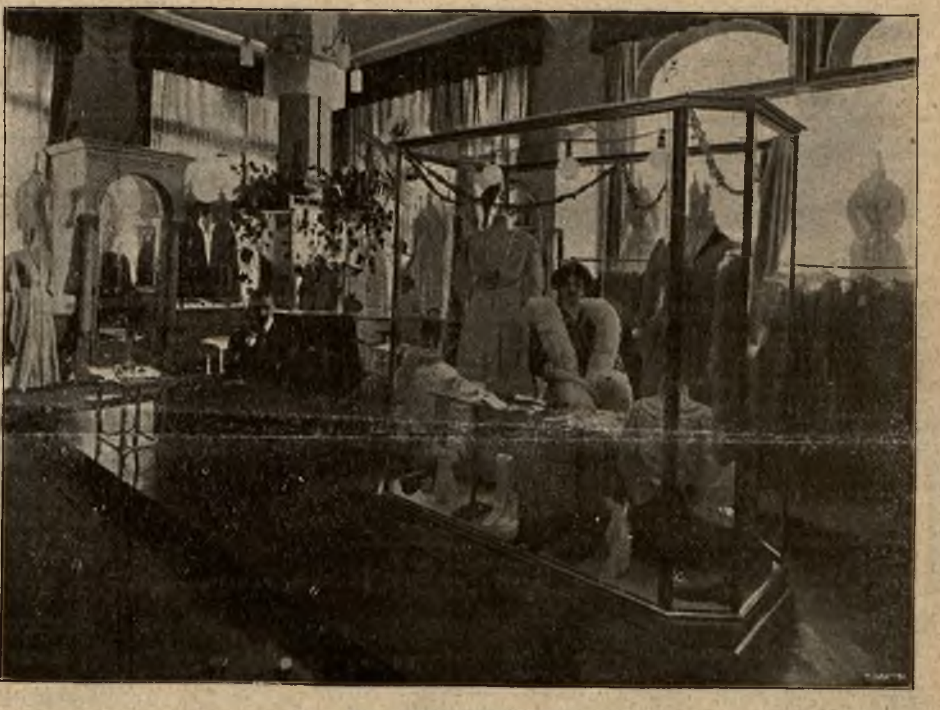
Tu, rzec śmiało można, najwybredniejsze gusta pięknych pań znajdą swe zaspokojenie niezawodnie. Skrzętność, ruchliwość, fachowa wiedza, niestrudzona praca i usłużność gentelmeńska samego właściciela, przytem uzdolnienie zawodowe licznego personalu, magazyn ten obsługującego, każą się spodziewać, ile że pewnikiem jest niezaprzeczonym,



Wacław Młodecki.



Pierwszy salon sprzedaży.



Drugi salon sprzedaży.

że tak magazyn, jak i pracownia p. Młodeckiego stoją na równi z pierwszorzędnymi magazynami tego rodzaju za granicą.

Otwarcie takiego magazynu, takiej pierwszorzędnej pracowni powitano z miłą życzliwością nietylko w Krakowie, lecz i na prowincyi, gdzie trudno o coś tak elegancko obmyślanego, jak magazyn konfekcyi damskiej pana Młodeckiego, który rzeczywiście w krótkim czasie zdołał pozyskać pełne zaufanie szerokich kół towarzyskich i tak nadzwyczajną rzetelnością, jak i widocznem mistrzostwem w swym zawodzie, potrafił sobie bardzo prędko ująć wszystkich.

To też dziś żadna Krakowianka nie sprowadza strojów z Paryża lub Wiednia, gdyż byłoby to przedewszystkiem wprost nieładnym postępkiem, gdyby ktoś wywoził pieniądz z kraju za granicę, mając na miejscu zakład, nie ustępujący w niczem owym osławionym domom mody w obcych miastach, jakie każą sobie płacić głównie za markę, ale nie za towar lub robotę.

Wskutek tego ceny magazynu krakowskiego muszą być bez porównania niższe, boć przecież nie trzeba tam opłacać ani cła, ani przewozu, ani — co najważniejsza — tej dobrej „marki“, o której już wspominaliśmy. Publiczność powinna być przekonana, że wystarczy mieć dobrą wolę, znać dokładnie wszystkie tajniki bieżącej mody, mieć wprawę i doświadczenie, aby dorównać zagranicy. Stać się to może wtedy, jeżeli publiczność popiera szczerze każdą godną firmę i potrzeby swoje zaspakaja na miejscu, nie dając się brać na huczne reklamy i bombastyczne samochwalstwa, za pomocą których zagraniczne magazyny werbują większą część swoich klientów.

A trzeba przyznać, że w żadnym dziale przemysłowym nie wychodzi tyle pieniędzy za granicę, co właśnie w dziale konfekcyi damskiej. Ustaliło się bowiem mniemanie, że tylko Paryż lub Wiedeń może dostarczyć czegoś nadzwyczajnego. Nie potrzeba się wiele silić, aby wykazać bezsensowność takiego mniemania. Człowiek, który studya swoje zawodowe odbył w najsłynniejszych zakładach zagranicznych i tam już uzdolnieniem swojem zdołał



Widok ogólny magazynu.

wybić się na pierwszorzędne miejsce, będzie umiał i w Krakowie wykonać to, co w Paryżu.

Za takiego człowieka uważasię p. Wacław Młodecki i jesteśmy przekonani, że nie zawiedzie on pokładanych w nim nadziei i postara się w każdym kierunku przysporzyć sławy swojemu zawodowi, przez co przyczyni się wielce do wyplenienia ustalonego zwyczaju wywożenia pieniędzy za granicę, zamiast pozostawienia ich w obrocie krajowym. Jego magazyn konfekcyi damskiej ma zatem do spełnienia poważną rolę: zadowolnić wszystkich i zapobiedz krzewieniu się kultu obcych magazynów.

Antoni Hekking.

W rzędzie artystów światowej sławy, których Dyrekcya koncertów krakowskich ma zamiar zaprezentować w Krakowie poraz pierwszy, usłyszymy w najbliższy piątek znakomitego wiolonczelistę Antoniego Hekkinga. Artysta ten jest wedle zdania krytyki europejskiej jednym z nielicznych mistrzów wiolonczeli. Wartość tej opinii potrafią ocenić należycie fachowcy, którzy wiedzą, ile trudności kryje w sobie ten piękny, ale niewdzięczny instrument. U Hekkinga może być mowa tylko o najzupełniejszem, najświetniejszem owładnięciu instrumentem.

Wiadomość o interesującym artyście uzupełniamy kilkoma szczegółami biograficznymi. Hekking jest pochodzenia holenderskiego, urodził się w r. 1856 w Hadze. Naukę prawdziwą rozpoczął w Paryżu, gdzie pracował u Jacquarda i Chevillarda. Europejski rozgłos uzyskał po pierwszej swej podróży koncertowej, odbytej z pianistką Essipow, a ustalił go, odbywając *tournée* z Yssayem w roku 1882, później już sam w Ameryce. Od roku 1902 mieszka w Berlinie, gdzie założył słynne trio Hekkinga (fortepian: Vianna da Motta, skrzypce: Wittenberg) i oddaje się pracy pedagogicznej.

Jubileusz małego panującego.

Jedynem na kontygencie europejskim państwem, którego władca nie pobiera żadnej listy cywilnej, a które nadto ma najmniejszy dług państwowy, jest niezawisłe księstwo Liechtenstein, graniczące z trzech stron z Przedarulanią, z czwartej zaś ze Szwajcaryą. Obszar tego państwa wynosi zaledwie 159 kilometrów kwadratowych, ludność zaś liczą na około 10 000 mieszkańców. Przed r. 1866 należało ono do Związku niemieckiego, po tym zaś roku, tak nieszczęśliwym dla austryackiego oręża, otrzymało niektóre urządzenia wspólne z monarchią habsburską, jak monetę etc., a po części także sądownictwo, ponieważ najwyższą instancyą dla księstwa jest sąd krajowy w Insbruku. Poza tem księstwo rządzi się samoistnie i ma swój własny budżet, oparty o własne dochody, wynoszące około 500.000 koron.

Władcą księstwa jest obecnie ks. Jan II. znany mecenas sztuki i literatury. W tych dniach obchodził on 50 letni jubileusz swych rządów, który w Wiedniu obchodzono z wielką uroczystością. Podczas uroczystości złożył gratulacye z powodu jubileuszu ks. Alojzemu Liechtenstein, marszałkowi dolnej Austryi, jako synowi jubilata, burmistrz m. Wiednia, dr. Lueger.

NADESŁANE.

(Za rubrykę niniejszą Redakcya nie przyjmuje odpowiedzialności).

Rozwiązanie zagadek z Nru 45.

Zadanie krzyżowe.
Aparat, lament, arenda, mandat.

Szarada.
Lokomotywa.

Kwadrat magiczny.
Wenus, epoka, kogut, ukazy, satyr.

Szarada.
Kanapa.

Logogryf.
Rembrandt.

Szarada.
Słońce.

Szarada.
Ananas.

Gwiazda magiczna.
Dalecka, Exterus, Kawecki, Małecki.

Szarada.
Deotyna.

Dobre rozwiązanie nadesłali Pp: O. Górkowa Chyrów, A. Nikosiewiczowa Krzywe, J. Januszewski Podgórze, R. Zwerdling Tarnów, E. Olszowski Tarnów, A. Mussil Lwów, A. S. Bassara Niwiska, A. Bocsoń Bóbrka, H. Jaworski Drohowyże, Z. Gaudnik Stary Sącz, I. Wielgus Wadowice, M. Lisowska Chmielówka, K. Fuchs Czeremchów, W. Laskowski Warszawa, W. Potocka Kraków, W. Spirydowicz Stara Sól, Czytelnia T. S. L. Millie, F. Przystał Mogiła, N. N. Rudki, K. Chodkiewicz Zbydniów, M. Rożański Gorlice, T. Nikiel Kraków. W. Lebedyński Rzeszów, H. Mokrzycka Rymanówka, St. Łaszkiewicz Dębica, B. Kamiński Tarnopol, St. Brzozowski Krosno, N. Wyszatycki Jarosław, J. Nowacki Przemyśl. M. Stachowicz Kraków, K. Ungeheuer Jarosław, W. Osadziński Kołomyja, Sz. Lindenbaum Czerniowce.

Nagrodę przez losowanie otrzymał p. E. Olszowski Tarnów. Prosimy o nadesłanie 35 hal. na koszta przesyłki.

Odpowiedzi Redakcyi.

Pani J. G. S. Dzieją się czasami rzeczy nadzwyczajne na świecie, ale częściej idzie świat trybem normalnym. Otóż do prawdziwych nadzwyczajności należałoby zaprowadzenie w krajach, o które Sz. Pani pyta, formy rządów monarchicznych i to tem bardziej, że ustawodawstwo tych krajów karze śmiercią nawet zamiar przewrotu w dotychczasowej formie rządów. W Stanach Zjednoczonych odnosi się to do zamiaru przywrócenia rządów „królewskich“, niema jednak mowy o rządach „cesarskich“. Dlatego też w latach siedmdziesiątych utworzyła się mała grupa polityczna, która zamierzała proklamować „cesarzem“ Stanów Zjednoczonych ówczesnego prezydenta Unii, Granta, ale były to tylko chwilowe mrzonki.

Pani W. M. S. w Ch. Teka redakcyjna naszego pisma zaopatrzona jest na długo w tłómaczenia, a zatem obecnie dziękujemy za łaskawą ofertę.

Zagadki do nagrody.

Krzyż magiczny.

Ułożył K. Chodkiewicz, Zbydniów.

Podane litery tak uporządkować, aby utworzyły sześć wyrazów o podanem niżej znaczeniu:

		4	5	6	
		a	a	a	
1	a	g	g	k	ł
2	o	o	p	r	r
3	r	r	u	v	y
		y	z	y	

Znaczenie wyrazów: 1. Ziemie nieuprawione. 2. Wielka chęć. 3. Stare meble. 4. Gatunek psów. 5. Drogi kamień. 6. Rodzaj zabezpieczenia.

Zagadka literacka.

Ułożył K. Chodkiewicz, Zbydniów.

Wymienić po jednem dziele podanych pisarzy. Początkowe litery tych utworów dadzą tytuł współczesnej powieści Gruszeckiego.

1. Gawalewicz: ?
2. Tetmajer: ?
3. Tripplinówna: ?
4. Wyspiański: ?
5. Kraszewski: ?
6. Kaczkowski: ?
7. Jeske-Choińska: ?
8. Corelli Marya: ?
9. Kowerska: ?
10. Orzeszkowa: ?
11. Kosiakiewicz: ?

Kwadrat magiczny.

Ułożył L. W. Kraków.

Z podanych liter ułożyć cztery wyrazy równobrzmiące w pionowym i poziomym kierunku.

a	a	a	a
a	n	b	h
d	e	l	l
r	r	u	u

Znaczenie wyrazów 1. Rzeka w Niemczech. 2. Inaczej wawrzyn. 3. Miasto na Węgrzech. 4. Mieszkaniec jednego z krajów austryackich.

Szarada.

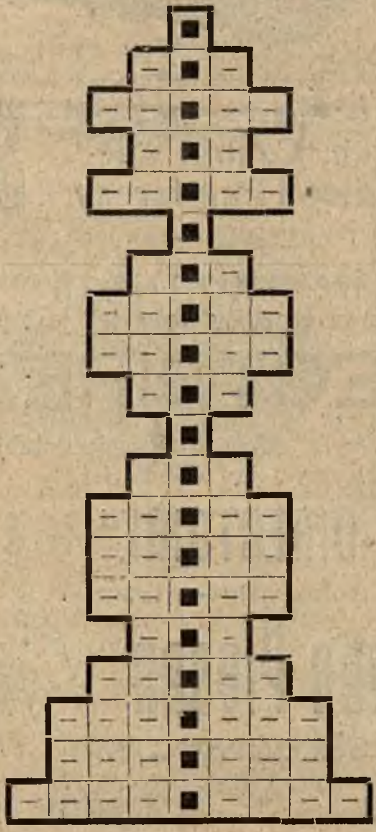
Ułożył J. K. Januszewski Podgórze.

Pierwsze samogłoska
Dwie następne osobistość krakowska
Wysoka co do urzędu.
Dwie zaś dalsze z rzędu
Tworzą dla zwierząt bezpieczne mieszkanie,
Całość to imię które noszą panie.

Logogryf.

Ułożył M. R. z Krakowa.

Zamiast kwadratów i kresek wstawić litery, aby utworzyły szereg wyrazów, których środkowe głoski czytane z góry na dół dadzą nam rzecz, o której obecnie wszyscy mówią i piszą.



Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska. 2 Ryba. 3. Mała kula używana w myśliwstwie. 4. Ptak. 5. Znajdziesz ją w każdym budynku. 6 Spółgłoska. 7 Zwierzę drapieżne. 8 Rodzaj jadalnej dyni 9. Część okna 10. Owad. 11 Spółgłoska. 12. Rzeka w Afryce. 13. Sprzęt domowy 14 Naczynie. 15. Zakrycie twarzy, używane w karnawale 16. Część twarzy. 17 Inaczej zakonnik. 18. Inaczej ciężar. 19. Rozbójnik. 20. Egzotyczne gady.

Kwadrat magiczny.

Ułożył L. W. Kraków.

a	a	a	
a	a	a	a
g	g	g	h
k	t	t	z

Znaczenie wyrazów: 1. Miasto w Holandyi. 2, Drogi kamień. 3 Rodzaj tkaniny 4. Inaczej zaczepka, natarcie.

Zagadka liczbowa.

Ułożył B. Ertel, Zbydniów.

W kwadrat o 25 polach wstawić liczby od 1—25 (bez powtórzenia) w ten sposób, by suma liczb rzędów poziomych i pionowych jakoteż wzdłuż obu przekątni wynosiła 65 (każdego z osobna!)

Krzyż magiczny.

Ułożył W. B. z Wiednia.

Z podanych liter ułożyć trzy wyrazy równobrzmiące w pionowym i poziomym kierunku.

		a	a	a		
		a	b	b		
n		e	e	e	k	k
k	k	l	l	m	m	o
o	r	r		r	s	s
			r	u		
		n	n	n		

Znaczenie wyrazów: 1 Mityczny założyciel państwa rzymskiego. 2. Pierwszy kalif arabski. 3. Syn Ulixesa.

Szarada.

Ułożyła Pojata z Warszawy.

Pierwsze — drugie, znane
Wołają pt szęta,
Drugie — trzecie, kochane
Lęgną nam kurczęta.
Trzeciego czwartego
Po lasach szukamy,
A wszystko razem
Smacznie zajadamy!

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania Weyssenhoffa: **»Żywot i myśli Zygmunta Podfilipskiego«** Wydanie czwarte.

